

Mieszkańcy wspominają

Małgorzata Kawka

Małgorzata Kawka

Mieszkańcy wspominają



Łapmy stare Piaseczno



Łapmy stare Piaseczno



Mieszkańcy wspominają

Małgorzata Kawka

Wydawca:

Urząd Miasta i Gminy Piaseczno
ISBN: 83-921614-9-1

Projekt graficzny:

Magdalena Markuszewska

Skład:

Tomasz Pawlak

Konsultacje i dobór zdjęć:

Małgorzata Szturomska, Stanisław Hofman

Korekta:

Małgorzata Idaczek, Magdalena Markuszewska

Zdjęcia:

Stanisław Hofman, Małgorzata Kawka, Jacek Mrówczyński, Małgorzata Szturomska, Tadeusz Tysza, archiwum Muzeum Regionalnego, archiwa rodzinne.

Spis treści:

Zamiast wstępu	7
Józefina Cibicka <i>Historia rodziny</i>	11
Jerzy Dusza <i>Ulica mojego dzieciństwa</i>	13
Stanisław Hofman <i>Historia jednej kamienicy</i>	21
Wiesław Gotchold <i>Dom przy Sierakowskiego 13</i>	27
Jerzy Kaczyński <i>Drewniane domy na Żabiej</i> <i>Jak powstała szkoła zawodowa w Piasecznie</i>	29 33
Wojciech Kaczyński <i>Piaseczno mojego dzieciństwa</i>	37
Henryk Kucharski <i>Droga z Julianowskiej na Świętojańską</i>	47
Kazimierz Lenarczyk <i>Tajemnica porucznika Karola</i> <i>Wspomnienia z czasu okupacji</i> <i>Piaseczyńskie harcerstwo</i> <i>Spacer sentymentalny</i>	55 57 62 65
Marek Modrowski <i>Najpiękniejsza ulica miasta</i>	77
Helena Rdzanek <i>Piaseczyński szpital z czasów Powstania Warszawskiego</i>	83
Tadeusz Warsza <i>O hokeju i innych sportach</i>	87

Drogi Czytelniku,

z przyjemnością i wzruszeniem oddajemy dziś w Twoje ręce wspomnienia mieszkańców Piaseczna. Szacowne nazwiska, najstarsi piaseczyńscy obywatele opowiadają nam o czasach, które minęły i o miejscach, których już nie ma. Rzeczy większe i małe, zdarzenia potoczne, wrażenia ulotne, migawki z dnia powszedniego, zatrzymana w kadrze pamięć...

Opowieści naszych nestorów - opatrzone archiwalnymi, w części nigdzie dotąd nie publikowanymi fotografiami, a spisane pieczołowicie przez Małgorzatę Kawkę, to rzecz bezcenna. I pierwsza z wielu, wielu następnych pozycji, które - mamy nadzieję - będą powstawać w ramach akcji "Łapmy stare Piaseczno".

Czy lubimy Piaseczno? Na tak postawione pytanie, każdy odpowie szybko - wskaże ulubione miejsca, wytknie braki i wady... A czy znamy miejsce, w którym żyjemy? Co o nim wiemy? Aaa, to już trudniej. Dzisiejsze Piaseczno to w dużej mierze nowi, napływowi mieszkańcy, którzy pojawili się tu zwabieni bliskością Warszawy, dostępnością pracy i niższymi cenami nieruchomości. Dość powiedzieć, że jeszcze kilka lat temu nasza gmina liczyła sobie 30 tysięcy mieszkańców, dziś - według oficjalnych danych - ma już 75 tysięcy. „Nowi” siłą rzeczy, niewiele wiedzą o miejscu, w którym żyją. Zaganiani, wiecznie w pędzie, kursujący pomiędzy domem a pracą - nie mają czasu ani siły by je poznać. „Starzy” - wiedzą i pamiętają wiele, ale nie mają jak i komu swojej wiedzy i pamięci przekazać. A potem bezpowrotnie odchodzą. Odchodzą ludzie, znikają też miejsca, domy... W ich miejsce pojawiają się nowe bloki, zmienia się krajobraz. Stare Piaseczno znika. Znika też pamięć o nim.

Tymczasem bez znajomości historii i tradycji miejsca, w którym żyjemy, trudno jest się z nim utożsamić, nawiązać więź uczuciową, polubić je. Stąd narodził się pomysł akcji "Łapmy Stare Piaseczno".

Gmina przeznaczona duże kwoty na przywracanie do życia historycznych miejsc w Piasecznie, takich jak plac Piłsudskiego, ratusz, rworzec PKP, a w przyszłości budynek Muzeum Regionalnego, park miejski, kolejka wąskotorowa, budynek przy Nadarzyńskiej 1... Powstaje Program Ochrony Zabytków, który pomoże uratować i zachować w dobrym stanie cenne dla naszej historii miejsca i obiekty.

Tyle materia. Czyli namacalne relikty naszej przeszłości. Ale oprócz materii jest jeszcze Duch. Czyli Pamięć. Tu wielką i piękną robotę wykonuje - powstałe z inicjatywy nieocenionego piaseczyńskiego obywatela, Jerzego Duszy - Muzeum Regionalne, z co i raz zmieniającymi się ekspozycjami i wystawami tematycznymi, lekcjami historycznymi, warsztatami dla dzieci i młodzieży. Gmina finansuje również liczne wydawnictwa, wystawy, konkursy, akcje okolicznościowe, happeningi. Wszystko to są działania mające na celu zachowanie i przybliżanie mieszkańcom historii i wiedzy o przeszłości Piaseczna. Budowę korzeni i tożsamości.

Wciąż jednak pozostaje luka do wypełnienia: złapanie i zachowanie Pamięci, żyjącej już tylko we wspomnieniach naszych najstarszych mieszkańców. Pamięci, która stopniowo odchodzi wraz z nimi. I to właśnie jest główny cel i zadanie akcji "Łapmy stare Piaseczno". Chcielibyśmy piaseczyńskich seniorów "wykorzystać" - i poprzez nagrania, zapisy, filmy i fotografie - zachować dla następnych pokoleń ich wspomnienia o miejscach, wydarzeniach i ludziach.

Przy okazji chcielibyśmy poruszyć i zaktywizować dzieci, młodzież i inne środowiska, które zapraszamy do przedstawiania pomysłów na Łapanie starego Piaseczna. I którym obiecujemy pomoc i wsparcie w ich realizacji.

Zgromadzone przez nas wspólnie materiały będą tworzyły „Archiwum Pamięci o Piasecznie”, którego zasoby mogą być później wykorzystywane i przetwarzane na najróżniejsze sposoby.

Czas trwania akcji jest nieokreślony - „Archiwum Pamięci o Piasecznie” może i powinno być wzbogacane sukcesywnie. Czekamy na propozycje, projekty i pomysły od osób prywatnych, stowarzyszeń, fundacji, organizacji pożytku publicznego, szkół - słowem od każdego, kto jest zainteresowany tematem i ma ciekawy pomysł na "Łapanie starego Piaseczna".

A ze swojej strony wychodzimy dziś z pierwszą propozycją - książką, którą macie Państwo w ręku...

Magdalena Woźniak
Komisja Promocji Rady Miejskiej w Piasecznie

Zamiast wstępu

Zapraszamy Państwa do niezwyklej podróży po Piasecznie. Będzie to podróż sentymentalna przez kilka epok historycznych, przez kilkanaście ulic miasta, w którym przypadło urodzić się, chodzić do szkoły, pracować, rodzić i wychowywać dzieci kilkunastu mieszkankom i mieszkańcom Piaseczna. Zasiądźmy razem z nimi w wygodnych kanapach, zapalmy czarodziejską lampę czasu i posłuchajmy opowieści niezwyklej. Tak niezwyklej, jak tylko może być niezwykle opowieść o ludzkim losie zdeterminowanym wydarzeniami historycznymi, przemijaniem i czymś, co często nazywamy przeznaczeniem, dołą człowieka. Przebiegniemy ulicami miasta od Julianowa poprzez ulicę Młynarską, Chyliczkowską i dalej aż do szkoły przy ulicy Świętojańskiej. Zjrzymy do lokalu konspiracyjnego, w którym będzie właśnie trwało szkolenie wojskowe. Spotkamy „Kolumbów rocznik 20”, chłopców, niby zwyczajnych młodych ludzi a jednak bohaterów swoich czasów. Zobaczymy też jak wyglądało Piaseczno przedwojenne, wielokulturowe. Bo przecież zamieszkiwali to miasto ludzie, których różniło pochodzenie i religia a jednak potrafili być dobrymi sąsiadami i kolegami ze szkolnej ławy. Trzy różne kultury – polska, żydowska i niemiecka ulokowane w jednym małym mieście w warunkach pokoju i wojny, życia i śmierci. Jak potoczył się ich los? Ta książka nawet nie ma ambicji, żeby to wyjaśnić. Nie jest to książka analizująca historię pewnego miasta na Mazowszu, choć miasta królewskiego. Miasta, w którym od wczesnego średniowiecza posiadali tu rezydencje książęta, królowe i królowie polscy. To jest początek opowieści, zaczyn do dalszych spotkań z ludźmi noszącymi w sercach swoją historię. Historię swojej rodziny. Historię mieszkańca Piaseczna.

Spotkamy w książce opowieści o zwykłych dniach właścicieli domów przy ulicy Sierakowskiego, Mickiewicza i Kościuszki. Opowieść o zabawach dzieci, jakże innych niż te w XXI wieku. Dowiemy się o radościach i smutkach, o dramatach rodzinnych i zwykłej mozolnej pracy. Tej pracy, która budowała to miasto. Nie bez przyczyny nadano tej opowieści podtytuł „Łapmy stare Piaseczno”. Wszystko bowiem przemija. Bo „... czas jak rzeka, jak rzeka płynie unosząc w przeszłość tamte dni”. I tylko od nas zależy ile z tych dni uchwycimy, zapamiętamy i zachowamy dla przyszłych pokoleń. Dla naszych następców, którym chcielibyśmy dać solidny kręgosłup, podstawę do życia. Tożsamość.

Każde miasto ma miejsca kultowe dla jego mieszkańców. O tych miejscach opowiadają rozmówcy dziennikarki Małgorzaty Kawki. Dziennikarki, która zmierzyła się z tematem niełatwym, ze względu na intymność opowieści. Każde miasto ma też swoje symbole. Często takimi symbolami są drzewa. Zapytaliśmy Małgorzatę Kawkę, co zrobiło na niej największe wrażenie podczas jej spotkań. Opowiedziała nam o spacerze ulicą Wacława Kauna z jednym z jej rozmówców. Starszy pan zatrzymał się obok domu pierwszego burmistrza II Rzeczypospolitej. Przy tym domu rosną trzy kasztanowce, stare, piękne i niebosiężne. Położył dłoń na pniu drzewa i powiedział – Gdyby one mogły opowiadać...

Kasztanowce na ulicy Kauna i te już nieistniejące na ulicy Świętojańskiej to też nasza tożsamość. To wspomnienie dzieciństwa wielu mieszkańców Piaseczna. Dęby i sosny Zalesia Dolnego, kasztanowce w Piasecznie i lipy rosnące na drodze zwanej „traktem królewskim”. Nie dziwcie się, jeśli i o nich spotkacie tu opowieść.

Dobór zdjęć do książki nie jest przypadkowy. Każde zdjęcie wyselekcjonowane ze stosu innych „opowiada” swoją historię. Przykładem jest zdjęcie klasy szkolnej, na którym możemy zobaczyć grono pedagogiczne i uczniów. Ta fotografia, niby zwyczajna, szkolna, jest trudna do opisania w trzech zdaniach. Przed drewnianym budynkiem szkoły zasiedli pedagodzy i uczniowie. Każda z tych osób to osobna opowieść. Opowieść o tworzeniu oświaty w Piasecznie, o tajnych kompletach w czasie okupacji hitlerowskiej, o losach nauczycieli i uczniów. I wreszcie opowieść o miłości dwojga młodych ludzi. Zaręczonych w czasie wojny. Bóg będzie miał jednak inne plany co do nich. Wojtek Hass zginie w czasie Powstania Warszawskiego w majątku w Pęcicach a ona, Marysia Szymańska, będzie tam ciężko ranna. Przeżyje wojnę, skończy medycynę i będzie leczyć dzieci w Piasecznie. Któż z dawnych mieszkańców miasta nie znał doktor Mrówczyńskiej? Zdjęcie to jest też opowieścią o Józefie Reszczyku, kierowniku szkoły. Człowieku o wysokiej kulturze osobistej. Jest jedną z tych osób, które tworzyły elitę miasta. I wreszcie opowieść o księdzu Wincentym. Wincenty Balul był katechetą w szkołach piaseczyńskich. Ukochałym przez uczniów. Jego wychowankowie spotykają się do dziś. Pan Jerzy Dusza rocznik 1928 w rocznicę śmierci swojego wychowawcy zamówił zdjęcia księdza Balula, aby móc wręczać je jako upominek osobom zainteresowanym historią. Ta fotografia nauczycieli i uczniów, to niekończąca się opowieść o Piasecznie. O chłopakach z Szarych Szeregów i ich wychowawcach. A to tylko jedna z trzydziestu paru fotografii użytych jako ilustracje do książki.

Na innych zdjęciach zobaczymy miasto z różnych epok. Staraliśmy się dopasować zdjęcia do treści książki. Jeśli udało się choć w części zilustrować te opowieści, będziemy kontenci. Choć taka ilustracja jest mało możliwa. „Mieszkańcy wspominają” - to książka, która stara się przekazać małą część historii rodzin piaseczyńskich. Ponieważ są to osobiste historie, nie oczekujemy tu faktów i analiz historycznych. Nie o to chodziło. Wydarzenia historyczne są tu tylko tłem. Może się tak zdarzyć, że to samo zdarzenie każdy z mieszkańców zapamiętał inaczej. Szczególnie, gdy patrzył oczami dziecka. Powrót do przeszłości miasta i ludzi świetnie ujął w słowa Czesław Niemen w swojej piosence:

Do dni dzieciństwa wraca moja myśl,
W marzeniach moich żyje rzeka ta,
Tak bardzo chciałbym być nad brzegiem jej
Więc niech wspomnienie dalej trwa
Tam każdy dzień to skarb
Dziś mój jedyny skarb.

Małgorzata Szturomska
Stanisław Hofman

Wspomina Józefina Cibicka

Historia rodziny

Ja nie mam już takiej pamięci i siły, ale trochę opowiedzieć mogę. Urodzona jestem w gminie Opacz, potem rodzice kupili gospodarstwo w Czarnym Lesie i tam rosłam. Od 1932 roku mieszkam w Piasecznie. Z mężem Kazimierzem tu zamieszkałam. Miałam 21 lat jak ślub wzięliśmy.

Poznaliśmy się z mężem na weselu sąsiada z mojej rodzinnej wsi. Pracowałam wtedy w sklepie w Warszawie. Najpierw pojechała do Warszawy moja starsza siostra i tam zamieszkała z mężem na ulicy Mariensztat. A na wsi była bieda. Trzeba było w miastach szukać pracy i pojechałam do siostry. Naprzeciw jej mieszkania był sklep kupiecki „Handel win, wódek i towarów kolonialnych”. Moja siostra była tam klientką i powiedziała właścicielce sklepu, że młodsza siostra przyjechała ze wsi, szuka pracy. Ta pani kazała mi przyjść. A ja nic nie umiałam, bez przygotowania poszłam. Miałam zaledwie trzy oddziały, tylko że dużo umiałam, bo dobrze się uczyłam, byłam zdolna. Przyszłam, ta pani ze mną porozmawiała i powiedziała: „Proszę iść do kuchni, służąca Nastusia da panience fartuch”, kazała mi się w ten bielusieńki fartuch ubrać i stanąć za kontuarem. Szybko wszystko pojęłam, bo szefowa mnie uczyła, co i jak trzeba robić. Tam, gdzie pracowałam miałam też mieszkanie, wyżywienie i dobrze mi tam było. Pracowałam za 35 zł miesięcznie.

A na wsi sąsiad się żenił. Poprosił na to wesele mnie, brata i rodziców. Była też rodzina mojego męża i ten mój przyszły mąż też był. Jako panna byłam przystojna, spodobałam się do tego stopnia, że na tym weselu mój mąż się oświadczył.

Przyprowadzili go do mnie mój brat i jego brat, i mówią, że ktoś się chce ze mną żenić. Wtedy on zdjął sygnet z palca i pyta mnie, czy można, a ja wyciągnęłam rękę i on na palec mi sygnet założył. I tak się zaczęło. Niedługo trwało narzeczeństwo. Zaręczyny były w październiku, ślub się odbył w Boże Narodzenie w katedrze św. Jana w Warszawie, a przyjęcie weselne było w mieszkaniu mojej siostry.

W Piasecznie wynajęliśmy mieszkanie przy ulicy Kauna. Tam mieszkaliśmy w bardzo małym mieszkanku dwa lata, potem w drugim i w jeszcze jednym. Mój mąż był z zawodu szklarzem, ja mu w pracy pomagałam. Mąż nie miał zakładu tylko furmankę i konia, i z tym szkłem jeździliśmy po wsiach. Ciężko pracowaliśmy, żeby mieć własny dom.

Jak się pobraliśmy dostaliśmy od moich rodziców 600 zł, a działka przy ulicy Kilińskiego, (dziś nr 27), którą chcieliśmy kupić, kosztowała 2 tys. zł. I myśmy te brakujące pieniądze zarobili własną pracą. Kupiliśmy działkę i w 1938 roku pobudowaliśmy ładny, drewniany domek. On stoi do dziś w głębi podwórka.

Ulica Kilińskiego była już wtedy brukowana, dobrze wyglądała, były latarnie. W mieście byli Żydzi, bo to było żydowskie miasto, ale na mojej ulicy mieszkali sami Polacy. Naszym bli-



Józefina i Kazimierz Cibiccy, rok 1931.

Fot. archiwum rodzinne Józefiny Cibickiej

skim sąsiadem był Modrowski. On prowadził warsztat ślusarski, miał pracowników, dobrze zarabiał, dobrze mu się powodziło. Niedaleko była piekarnia Szymczaków, słynęła jako najlepsza w mieście. Wojciechowski też miał piekarnię, Olszewski. Latem chodziliśmy kąpać się do rzeki. Ulicą Wschodnią dochodziło się przez pole do kąpieliska.

Pamiętam dzień, gdy wojna wybuchła. To tak jakoś po cichu się stało, prawie się o wojnie nie wiedziało, bo i skąd. Mało kto miał radio, żeby komunikatów słuchać. Ale mieliśmy lokatorkę, która jakoś się o tym dowiedziała. Przybiegła i mówi „Panie Cibicki, była odezwa, że mężczyźni, którzy są zdolni do noszenia broni mają iść w stronę Lublina. Bo jest wojna.” Mąż poszedł do swojego brata, a ten już był przygotowany. To i mąż zaczął się szykować. Miałam wtedy zaoszczędzonych 20 zł. Podzieliłam się tymi pieniędzmi z mężem po 10 zł i poszedł. Zostałam z dziećmi, córka miała siedem lat i syn dwa latka.

A to akurat był dzień targowy. Przyjechał mój brat ze zbożem na targ, bo nic nie wiedział, że jest już wojna. I ja tych dwoje dzieci dałam bratu na wieś, bo myśleliśmy, że tam będzie bezpieczniej niż w mieście. Sama zostałam i tak mi było źle, że zaraz pobiegłam na tę wieś i dzieci zabrałam do domu.

A mężczyźni daleko iść nie mogli, bo szli przez Otwock i tam już były niemieckie samoloty, na drogach trupy leżały, już nie było do Lublina dojścia. I od Otwocka zawrócili do Warszawy. Jak już tam doszli, to był nalot i skryli się w domu przy ulicy Wiśniowej. Na dom spadła bomba, brata męża zasypało, ale go uratowali i potem poszli do swojej siostry, która mieszkała na ulicy Hrubieszowskiej. Stamtąd mąż wrócił po dwóch tygodniach do domu i już byliśmy razem.

Józefina Cibicka

z domu Magdziarz, 1910 – 2014,
mieszkanka Piaseczna od 1932 r.

Wspomina Jerzy Dusza

Ulica mojego dzieciństwa

Dla mnie najważniejszym miejscem w Piasecznie była i jest ulica Nadarzyńska, bo tam się urodziłem, tam spędziłem dzieciństwo i młodość. To ulica z charakterem i ma za sobą długą historię. Od wieków stanowiła trakt prowadzący do Nadarzyna, co potwierdza mapa z 1825 roku. Wtedy była zwykłą polną drogą. W ulicę przypominającą obecną Nadarzyńską zaczęła się zmieniać w okresie międzywojennym, gdy powstawały kamienice, z których część zachowała się do dziś.

Jedna z nich stoi na rogu ulicy Kościuszki i Nadarzyńskiej pod numerem 1. Została zbudowana w 1921 roku, a jej właścicielem był Aleksander Rowiński, rzeźnik. Dla mnie jest to ważna kamienica, bo tam się urodziłem, tam mieszkaliśmy z rodzicami jeszcze wiele lat po wojnie. Zajmowaliśmy cztery pokoje na piętrze w prawym skrzydle domu. W lewym mieszkał Mieczysław Markowski z rodziną. Na parterze miał aptekę, jedyną wówczas w mieście.



Skrzyżowanie ulic Nadarzyńskiej i Kościuszki, lata sześćdziesiąte XX w.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Markowski był zasłużonym człowiekiem, lubianym i szanowanym za swoją dobroć i uczciwość. W Piasecznie osiedlił się wraz z rodziną w 1919 roku. Był patriotą, społecznikiem z powołania. Założył Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Związek Ludowo-Narodowy, był prezesem Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości, prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej, a od 1937 roku do wybuchu wojny pełnił funkcję burmistrza. Niemcy aresztowali go w maju 1940 roku, miesiąc później został rozstrzelany w Palmirach. Jeden z jego synów, porucznik rezerwy Antoni Markowski, zginął w Katyniu.

Naszymi sąsiadami obok państwa Markowskich była rodzina Majdanów. Majdan dorobił się majątku na handlu zbożem i bydłem. Był jednym z nielicznych wykształconych piaseczyńskich Żydów. Miał maturę, co przed wojną było dobrym wykształceniem. Jego żona była Polką, mieli syna Aronka. Na piętrze mieszkał też Olek Edward z żoną. Ich sąsiadem była rodzina Lipsztada, który prowadził sklep materiałów piśmiennych i szkolnych.

Na parterze mieszkała rodzina Majorków. Majorek kupował cielęce pęcherze. Nadmuchane suszył na słońcu, polerował i sprzedawał rzeźnikom. Przed wojną rzeźnicy wyrabiali biały smalec, który był przechowywany w takich pęcherzach. Pajda pachnącego chleba z białym smalcem posypanym solą to był rarytas, coś pysznego. Dziś już nie ma takich smaków. W naszej kamienicy żyli też bardzo biedni ludzie. Jedna taka biedna rodzina mieszkała w piwnicy, pamiętam, że mieli łóżko postawione na cegłach.

Kolejnym stojącym do dziś budynkiem jest kamienica przy Nadarzyńskiej 4. Mieszkały w nim prawie same rodziny żydowskie. Kamienica należała do Goldberga, który miał tam piekarnię, a za budynkiem skład materiałów budowlanych. W tej samej kamienicy był sklep kolonialno-spożywczy. Mówiło się o nim „U Chawci”, bo właścicielka tak miała na imię. Kupowałem tam mąkę, cukier, ryż, kaszę i inne produkty. Ona zapisywała ceny do zeszytu, a rodzice, jak wielu naszych sąsiadów, w miarę posiadania pieniędzy regulowali należność.

Z kamienicy pod numerem 6 pamiętam polskie rodziny Kazubków, Babkiewiczów, Wojciechowskich, Kucharskich. W tej samej kamienicy mieszkała żydowska rodzina Koprów, którzy mieli skład budowlany przy tzw. małym rynku. Tuż po wybuchu wojny udało się Koprowi z żoną i dwiema córkami wyjechać z Polski.

Z ostatniej kamienicy stojącej przed skrzyżowaniem Nadarzyńskiej i Czajewicza pamiętam rodziny Borowskich i Zielińskich. A dalej, już na rogu tych ulic, Żyd Szymek prowadził w drewnianej budce wypożyczalnię rowerów. Można było wypożyczyć rower na kilka godzin albo pojeździć na placu. Zależnie od długości przejażdżki płacono się od 10 groszy do złotychki. Dla dzieci to była frajda, nawet jedno kółko dookoła placu cieszyło.

Bo dzieci wtedy nie miały wielkich wymagań. Bawiliśmy się po podwórkach w chowanego, w klasy się grało. Już jako trochę starsze dzieci chodziliśmy nad Perełkę, która jeszcze nie była Perełką, a zwykłym rowem odpływowym. Ciągnął się ten rów od Magdalenki, w Piasecznie przecinał pod mostem ulicę Kościuszki, potem szedł przez obecny skwer Kisiela, przepływał pod mostem na ul. Sierakowskiego i wychodził na pola chyliczkowskie łącząc się z Jeziorką. W latach 1937-38 dla wygody mieszkańców część tego rowu nakryto kręgami. Woda w nim była tak czysta, że braliśmy z kolegami kosze i łapaliśmy raki i pijawki. Te ostatnie ładowaliśmy do butelek i sprzedawaliśmy na targu, bo w tamtych czasach stosowano je do upuszczania krwi.



Szkoła Powszechna przy ul. Świętojańskiej, rok 1939. Zajęcia lekcyjne w drewnianym budynku szkoły, w głębi sali stoi nauczycielka Felicja Mitkiewiczowa. Fot. archiwum rodzinne Małgorzaty Szturomskiej

A wracając do zabaw, to zimą jeździliśmy na łyżwach na Stawie Chyliczkowskim, na zalewie Jeziora, na podwórkowych ślizgawkach. Łyżwy można było kupić przy ul. Sierakowskiego u p. Gielecińskiego, który łyżwy wyrabiał. Nie każdego było stać na taki luksusowy zakup, więc robiło się łyżwy samemu. Miałem 9 lat, gdy starszy kolega pokazał mi, jak je zrobić z drewna. Ciosało się deseczki o odpowiedniej długości, potem łączyło jedną ułożoną na płasko z drugą ustawioną pionowo. Rozgrzany w palenisku do czerwoności pogrzebaczem robiliśmy dziury przez środek tych płaskich desek, przywiązywało się takie łyżwy sznurkiem do butów i dalej na lód.

Park w Chyliczkach, lata osiemdziesiąte XX w.
Fot. Tadeusz Tyska.



Po tylu latach zacierają się twarze sąsiadów, kolegów, koleżanek, ale została pamięć tego, że żyliśmy we wzajemnym poszanowaniu. Została też pamięć o wyjątkowych ludziach żyjących w przedwojennym Piasecznie. Ot, choćby lekarzy, których znali wszyscy w mieście i okolicy. Był Aleksander Skorko, który jako oficer rezerwy w stopniu kapitana był z wybuchem wojny powołany do wojska i został zamordowany w Katyniu. Był Mateusz Koperski, który jest pochowany na cmentarzu parafialnym. Doktor Perkowski, który zamieszkał w Piasecznie podczas okupacji. Pamiętam, że swój miał gabinet w budynku Gerberów. Ale najbardziej znanym lekarzem był jednak doktor Danielewicz, ginekolog i internista. Niezapomnianą postacią był ks. Wincenty Balul, związany z Piasecznem od roku 1921 do swojej śmierci w roku 1944. Skromny, pracowity, dobry człowiek. Bardzo pomagał ludziom opuszczonym, starym, biednym a tych ostatnich dużo było w Piasecznie.

Młodzież z Sodalicii
Mariańskiej z księdzem
prefektem Wincentym
Balulem.

Fot. Muzeum
Regionalne
w Piasecznie



Bo przedwojenne Piaseczno nie było bogatym miastem. Przemysłu nie było. Był jeden tartak, który stał na rogu obecnych ulic 17-tego Stycznia i Staszica, była słynna stolarnia braci Ringów. Ringowie majątku dorobili się podczas I wojny światowej, kiedy wyrabiali dla wojska stojaki pod karabiny i łóżka polowe. Przy ulicy Dworcowej była mała mleczarnia, do dziś tam stoją jej ruiny.

Za to kwitło rzemiosło. Najwięcej było krawców, drugie miejsce pod względem ilości zajmowali szewcy. Dużo odzieży szyto na zamówienie do warszawskich sklepów. Buty z Piaseczna miały w Warszawie dobrą markę. Sprzedawano je w eleganckim sklepie na Nowym Świecie.

Warsztaty krawieckie i szewskie były w wielu domach, bardzo duży punkt rzemieślniczy był przy ulicy Kościuszki, naprzeciwko obecnego urzędu gminy. Stał tam wybudowany na początku lat dwudziestych dwupiętrowy dom Zukera. Na parterze i piętrach mieszkali ludzie, a w piwnicy pracowali krawcy, szewcy. Pamiętam, że był taki drewniany pomost prowadzący do sieni i pod deskami tego pomostu widać było pracujących ludzi. Pamiętam to, bo tam oj-

ciec mnie prowadził i szyli mi garniturki. Marynarka i spodenki z krótkimi nogawkami takie, jak to chłopcy w tych czasach nosili. Teraz w tym miejscu stoi nowy budynek, po kamienicy Zukera nie ma śladu.



Budynek przy ul. Kościuszki tzw. dom Zukera. Tu w okresie międzywojennym mieścił się sklep bławatny, Kasa Chorych, w sierpniu 1944 roku szpital powstańczy, a po wojnie sklep Gminnej Spółdzielni - popularny „Żelazniak” oraz biuro NSZZ „Solidarność”.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Rzeźników było dużo, tylko na ul. Kościuszki było ich dziewięciu. Dużą i znaną masarnię mieli Rowińscy, Poncyliusz. Piaseczyńskie wędliny miały powodzenie w całej okolicy. Jesienią każdego roku na Mokotowie, tam gdzie Wierzbno, były specjalne targi. Przyjeżdżali rzeźnicy z Piaseczna i Karczewia i konkurowali o zwycięstwo.

Pyszne te wyroby były. Jak nam mama ukroiła kawałek mortadeli albo kaszanki to było takie smaczne... Do tego pachnący chleb, a było gdzie taki w Piasecznie kupić. Piekarnie były na rynku i przy ul. Sierakowskiego. Gdy matka pracowała u rzeźnika Rowińskiego, to jak wracałem ze szkoły dawała mi parę groszy i kupowałem chałkę albo bułkę-parkę, zawsze ciepłe, pachnące.

Były też w Piasecznie herbaciarnie i cukiernie. Jedna taka znana herbaciarnia była zaraz koło apteki Markowskiego, przy naszej kamienicy. W miejscu, gdzie teraz mieści się spółka melioracyjna, był spory drewniany budynek i tam Żyd Flint miał czynną całą dobę herbaciarnię. Gdy okoliczni rolnicy wczesnym świtem jechali do Warszawy z warzywami, owocami, to zatrzymywali się na tym małym rynku naprzeciwko Nadarzyńskiej i szli do Flinta na jajecznicę, herbatę, kawę, bułki. Flint miał jeszcze tuż przy herbaciarni wytwórnię wód gazowanych. Produkowali w niej pyszną lemoniadę i wodę sodową w syfonach.

Takich nocnych herbaciarni jak ta Flinta było w Piasecznie jeszcze kilka: przy rynku naprzeciwko kościoła, w budynku Chruścińskich, na rogu Kościuszki tam, gdzie dawniej był sklep złotniczy Natalia.

A na obiady, czy szybką przekąskę w ciągu dnia to dorośli chodzili do restauracji. Było ich kilka, ale ja najbardziej zapamiętałem dwie. Na rogu ulicy Nadarzyńskiej i Kościuszki, gdzie teraz blok stoi, restaurację miał Żyd Morcyk. Mieściła się w trzech pomieszczeniach, był tam bilard, a w soboty przychodził pianista i grał ówczesne szlagiery. Była też znana restauracja u Hofmana przy ulicy Kościuszki 4. Tam co soboty też grywał pianista, taki garbaty.

Ciastka, dobre owoce kupowało się w cukierniach, a najczęściej u Lursa. On miał taką ładną cukiernię na rogu Czajewicza i Nadarzyńskiej. Tam były ciastka, czekolady, chałwy, cukierki

i owoce południowe: banany, pomarańcze, cytryny. Zawsze wszystko ładnie ułożone na wystawie. W naszym podwórku Żydówka miała krowę i jak matka obrała ziemniaki, to ja tam zanośiłem oberki. Dostawałem za to 10 czy 20 groszy i wtedy leciałem do Lursa kupować sobie cukierki.

I było jeszcze miejsce, gdzie pyszne lody można było kupić. Przy rynku, na wprost kościoła był sklep firmowy Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Chyliczkach. Tam sprzedawano sery, mleko i te pyszne lody. Szkołę założyła na terenie swojego majątku hrabina Cecylia Plater-Zyberkówna. Teren majątku Chyliczki, ponad siedemdziesiąt hektarów, zaczynał się w tym miejscu, gdzie obecnie przy ul. Sierakowskiego jest parking, z prawej strony dochodził do ulic Kauna i Żeromskiego. Zabudowania wyglądały przed wojną tak samo jak teraz, koło stawu stał pałac, podłużny budynek po lewej stronie służył jako mieszkanie dla nauczycieli. Były stajnie, obory, chlewnia, szklarnie. W majątku hodowano też drób, szczególnie kury zielononóżki, za które zdobywano dyplomy podczas wystaw, także zagranicznych, uprawiano warzywa, owoce. Był piękny, zadbane park. Teren otoczony był wysokim murem, po którym już śladu nie ma, ze starego parku zostało ledwie kilka drzew.

„Dom ogrodników” stojący na granicy targu miejskiego i parku chyliczkowskiego, obok budynku mur ogradzający majątek w Chyliczkach z widoczną furtką oraz „oknem do parku”, lata siedemdziesiąte XX w.

Fot. Jacek Mrówczyński



Wszystko, całe nasze biedne, ale spokojne życie, zmieniła wojna. Żydzi zostali zamknięci w piaseczyńskim getcie, potem wywiezieni do getta w Warszawie. Zniknęło tylu moich kolegów, koleżanek, zniknęli dawni sąsiedzi. Ich miejsce zajęli przesiedleni przez Niemców z Pomorza Polacy, ale ci ludzie po wyzwoleniu wyjechali, wrócili do siebie na Pomorze, tak jak krawiec Kaczmarewski, który z rodziną został ulokowany w naszej kamienicy.

Po wojnie zaczęto o Nadarzyńskiej mówić „ulica złoczyńców” albo „Czerniakowska”, bo mieszkali przy niej dużo szemranego towarzystwa. Były to biedne i na ogół pijackie rodziny, które zasiedliły opuszczone, pożydowskie mieszkania. Ludzie unikali Nadarzyńskiej po zmroku, żeby nie być okradzionym, pobitym. Ale myśmy nie bali się tam mieszkać, byliśmy szanowani, lubiani. Wielu miałem kolegów z tej ulicy. Pamiętam, jak czasami rowerem nie wstawiłem do komórki, tylko stałem przed domem, a któryś z nich przechodził ulicą, to wołał „Jureczku, wstaw rower, bo jak ukradną będzie na nas”.

Tęsknię za Piasecznem z lat mojego dzieciństwa, młodości, z jego kamienicami, parterowymi domkami otoczonymi ogródkami, w których rosły kwiaty, uprawiano warzywa, drzewa owocowe. Wokół miasta były sady, pola. Latem ludzie bawili się na niedzielnych piknikach na polanie na skraju ul. Mickiewicza albo nad Jeziorką. Przychodziły całe rodziny, przynoszono koce, jedzenie, napoje. Atrakcją była słynna piaseczyńska dęta orkiestra strażacka, która przygrywała odpoczywającym. W ciepłe dni sąsiedzi spotykali się w ogródkach na ławeczkach, rozmawiali. Albo szło się do cukierni. Chodziło się na spacerunki pięknymi, zalesiańskimi ścieżkami. Dziś to wszystko minęło bezpowrotnie.

Jerzy Dusza

ur. 1928 r. w Piasecznie



Fot. Małgorzata Kawka

Wspomina Stanisław Hofman

Historia jednej kamienicy

Dom pod numerem czwartym przy ulicy Kościuszki pobudowali moi dziadkowie w 1926 roku. Wtedy zgodnie z obowiązującą numeracją była to kamienica pod ósemką. Do dziś zachowały się na klatce schodowej pierwotne poręcze, niektóre drzwi wejściowe, no i brama jest wciąż ta sama. Gdy ją otwieram często myślę o moich przodkach, którzy wiele pokoleń wstecz związali swe życie z Piasecznem.

Mój pradziadek, Gustaw Hofman, urodzony w małej miejscowości koło Pszczonowa, przyjechał do Piaseczna około 1890 roku po odbyciu służby wojskowej w cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier. Była to armia wielonarodowościowa i pradziadek, z racji tego, że był wojskowym pisarzem, miał kontakt z przedstawicielami różnych nacji. Jako człowiek językowo utalentowany nauczył się wtedy języka rosyjskiego, niemieckiego, hebrajskiego. Po zamieszkaniu w Piasecznie pracował w magistracie jako urzędnik i znajomość tych trzech języków bardzo mu się przydawała, bo w tamtych latach obok Polaków żyli tu Niemcy, Żydzi, a i Rosjanie pewno by się znaleźli.

Osiedlił się więc pradziadek w Piasecznie i w 1893 roku ożenił się z Antoniną Poncyliuszówną, wnuczką Jana Andrzejewskiego, zmarłego w 1855 roku i pochowanego na cmentarzu w Piasecznie. Poprzez to małżeństwo moja rodzina wywodzi się po kądzieli z najstarszych piaseczyńskich rodów.

W czasie, gdy Antonina wychodziła za mąż, na miejscu obecnej kamienicy przy Kościuszki, stał parterowy drewniany budynek należący do jej rodziny. Majątek rodziny został podzielony między dzieci i Antoninie przypadł dom, w którym pradziadkowie zamieszkali po ślubie.

Kamienica rodziny Hofmanów rok 1934.

Przed wojną istniał tu sklep kolonialny, restauracja „Pod Ósemką”, a po wojnie restauracja „Pod Koziołkiem”.

Fot. ze zbiorów Stanisława Hofmana



Antonina i Gustaw Hofmanowie, koniec XIX w.
Fot. ze zbiorów Stanisława Hofmana



Gustaw był znanym i szanowanym obywatelem. Przez wiele lat pracował w magistracie, był działaczem społecznym, współzałożycielem Straży Pożarnej w Piasecznie. W latach 1915-1916 był ostatnim sołtysem Piaseczna, a w 1918 roku podczas zebrania mieszkańców Piaseczna wybrano go na tymczasowego burmistrza miasta. Funkcję pełnił zaledwie dwa dni, bo po tym czasie zebrała się rada miejska i na burmistrza powołano Wacława Kauna.

Antonina zaś, jak wszystkie kobiety w tamtych czasach, prowadziła dom. Życie doświadczyło moich pradziadków, bo trzech ich synów umarło w dzieciństwie. Przeżyło czwarte dziecko, Aleksander, mój dziadek. Aleksander w 1918 roku ożenił się z Pelagią z Orłowskich i zamieszkał z młodą żoną w swym rodzinnym domu przy Kościuszki.

Tutaj wspomnę o pewnych konotacjach towarzyskich związanych z rodem Orłowskich. Otóż, Pelagia miała liczne rodzeństwo, między innymi siostrę Jadzię. Jadzia, jako młoda panna, nieraz spacerowała po Piasecznie z równie młodziutką Jadzią Smosarską, bo rodzice przyszłej wielkiej aktorki mieszkali w Zalesiu Dolnym. Sięgając zaś jeszcze dalej w historię rodziny powiem, że matka Pelagii, czyli moja prababka Marianna z domu Nalewczyńska, miała trzy siostry i jedna z nich to babka poety księdza Jana Twardowskiego.

Wracając zaś do moich dziadków to, jak już wspomniałem, w miejsce drewnianego domu pobudowali w 1926 roku piętrową kamienicę, a po dziesięciu latach dostawili lewe skrzydło budynku. Na piętrze kamienicy były mieszkania, część z nich wynajmowali lokatorzy, na parterze zaś mieściły się małe zakłady rzemieślnicze i sklepiki. Swoją sklep miał pan Bender, który z czasem pobudował przy rynku porządną dom, przed wojną uznawany za najbardziej nowoczesny budynek w Piasecznie. Na pierwszym piętrze mieszkał właściciel, a na dole był elegancki sklep kupiecko-kolonialny. Jeszcze kilka lat temu w tym

budynku mieściła się komenda policji, a po gruntownym remoncie, przeprowadzonym gdy komenda dostała inne lokum, swoje miejsce znalazł tam „Przystanek Kultura”. Obok sklepu Bendera swój zakład czapkarski prowadził pan Knero. Po wojnie w tym lokalu był zakład zegarmistrzowski, a jego właściciel wykonał i ofiarował miastu pierwszy po wojnie zegar na wieży Ratusza. Po latach okazało się, że hojny zegarmistrz był w szkole oficerskiej w jednym plutonie z Jaruzelskim, Siwickim, wybrał jednak inne życie.

Tak jak pan Bender sklep kolonialny otworzył też dziadek Aleksander, bo chociaż miał stolarskie papiery czeladnicze, ale praktycznie cały czas zajmował się interesami. Sklepy kolonialne były przed wojną bardzo popularne. Ich nazwa pochodzi stąd, że obok rodzimych artykułów spożywczych sprzedawano w nich towary sprowadzane z zamorskich kolonii np. przyprawy, kawę, herbatę, kakao. Sklep prosperował tak dobrze, że dziadek na tyłach kamienicy postawił stajnię, zakupił konie, zatrudnił woźnicę i wszystkie towary przywoził własnym transportem.

Po jakimś czasie ze sklepu powstała restauracja. Na pamiątkowych zdjęciach widać eleganckie wnętrze, drewniany kontuar, półki z rzędami butelek, saturator do piwa, a dobre piwo serwował dziadek, bo Dojlidy z Białegostoku. Restauracja nazywała się oficjalnie „Pod Ósemką”, bo taka była wówczas numeracja kamienicy, ale popularnie mówiono o niej po prostu „U Hofmana”. Żeby prowadzić restaurację dziadek znów zainwestował i pobudował od strony podwórka kuchnię. Mimo że stały tam stajnie i kuchnia, to podwórko było zadbane. Było wybrukowane, bliżej domu był zarośnięty bluszczem mały ogródek z altanką, obok stał trzepak. Środkiem podwórka płynął co prawda rynsztok, ale nie było w tym nic wyjątkowego. Takie same rynsztoki były na innych podwórkach i na wszystkich ulicach miasta. Restauracja szybko stała się popularna. „U Hofmana” bywali mieszkańcy Piaseczna, okolic, byli goście z Warszawy. Na obiad wstępowali letnicy z Zalesia Górnego. Przed wojną to była modna miejscowość wypoczynkowa, a że przystanek autobusu na trasie Warszawa – Zalesie był tuż przy rynku, więc do restauracji było letnikom po drodze.

Dziadek był zajęty pracą, ale znajdował też czas na kontynuowanie rodzinnych tradycji należąc do Straży Pożarnej. Pełnił w niej funkcję gospodarza odpowiadając za sprzęt i za budynek, a przy tym, jak każdy strażak, jeździł do pożaru. W tamtych czasach mundury strażacy trzymali w domu. Babcia opowiadała, że po każdej akcji musiała dom do porządku doprowadzać, bo dziadek nie pamiętając, gdzie schował pas i toporek przed wyjściem nerwowo przeszukiwał wszystkie szafy i komody. Dwa lub trzy lata po wojnie, za czyjąś przyczyną, rada miasta zarzuciła mu, że sprzeniewierzył mienie w postaci węży strażackich. Okazało się, że gdy wybuchło Powstanie Warszawskie dziadek dobrał ekipę i pojechali do stolicy wozem pożarniczym „Chrobry” gasić pożary. Po kilku dniach wrócili, a węże zostały w stolicy.

Dziadkowie moi mieli troje dzieci, z których przeżyło jedno – mój tata Stanisław. Ojciec do szkoły podstawowej chodził w Piasecznie, a do gimnazjum i liceum w Warszawie, bo w naszym mieście takich szkół wówczas nie było. Do stolicy tata dojeżdżał ciuchcią, która dojeżdżała do Placu Unii Lubelskiej. Maturę zrobił w 1939 roku, miał jeszcze dwa miesiące wakacji a potem wybuchła wojna.

We wrześniu 1939 roku Piaseczno nie ucierpiało tak bardzo jak wiele innych polskich miejscowości, ale zniszczenia i tragedie nie ominęły miasta. Wśród rodzinnych pamiątek jest

kilka zdjęć zrobionych w pierwszych tygodniach września przez mego ojca i opisanych jego ręką. Na fotografiach widać, że została zniszczona część budynków przy ulicy Warszawskiej, przy Puławskiej. W ruiny zamieniły się domy w miejscu, gdzie obecnie jest budynek PZU, spłonęły również budynki do ulicy Młynarskiej.

Jednak tragiczniejsze niż zniszczenia domów było zamordowanie przez Niemców 21 wziętych do niewoli żołnierzy polskich i śmierć kilku mieszkańców Piaseczna, którzy zostali zabici w różnych miejscach miasta. Egzekucji żołnierzy Niemcy dokonali w ogrodzie przy plebanii kościoła parafialnego. Jej świadkiem był ówczesny proboszcz ks. Leopold Jarosz, który z okna plebanii, potajemnie, udzielał mordowanym rozgrzeszenia.

W czasie wojny mój ojciec zaangażował się w działalność konspiracyjną wstępując do Armii Krajowej działającej na terenie Piaseczna i okolic. Brał też udział w Powstaniu Warszawskim. O ile udział dziadka w Powstaniu był raczej symboliczny, to tata walczył od dnia wybuchu do kapitulacji. I to wcale nie na rozkaz. Po prostu, 1 sierpnia razem z ciotką Marią Dutkiewicz i koleżanką Barbarą Wojewódzką–Helewską jechali do Warszawy z zaopatrzeniem dla Batalionu Zośka. Zdążyli dojechać do Politechniki, gdy rozpoczęły się walki i już w Warszawie zostali dołączając do 3. batalionu pancernego „Golski”.



Kościół św. Anny, lata sześćdziesiąte XX w.

Fot. pocztówka ze zbiorów muzealnych

Po kapitulacji tata przeszedł przez obóz w Pruszkowie, potem był w obozie pod Hamburgiem. Po wyzwoleniu dotarł we Włoszech do Armii Andersa, stamtąd trafił do Anglii skąd wrócił w 1947 roku do Piaseczna. Mimo swej niechlubnej dla ówczesnych władz przeszłości ukończył Szkołę Główną Handlową i zaczął pracę w Piasecznie, w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni.

Rodzinę założył pod koniec studiów żeniąc się z Aliną Woźniakówną, mieszkanką Piaseczna. Rodzina mojej mamy była napływowa. Jej ojciec był kolejjarzem i na początku lat 30-tych ubieg-

tego wieku skierowano go służbowo do Piaseczna. Rodzice moi znali się pewno jeszcze przed wojną, bo oboje należeli do Sodalicii Mariańskiej, którą kierował ksiądz Balul, być może spotykali się w czasie wojny, bo mama także należała do AK. W czasie Powstania Warszawskiego jako łączniczka oddziałów zgrupowanych w Lesie Chojnowskim kilkakrotnie przechodziła kanałami do płk. Antoniego Chruściela ps. Monter, dowódcy Okręgu Warszawskiego AK. Ślub rodziców był skromny, bo najzwyczajniej w świecie oboje byli biedni. Rodzina taty, jak wiele innych mniej czy bardziej zamożnych rodzin, straciła po wojnie cały majątek. Państwo zajęło kamienicę osadzając w niej lokatorów i przejęło restaurację. Utworzono z niej restaurację PSS Społem o nazwie "Pod Koziołkiem", a z czasem przekształcono ją w stołówkę milicyjną, bo przecież komenda mieściła się niemalże naprzeciwko naszej kamienicy.

Dziadkom pozwolono zatrzymać jeden pokój z kuchnią i w związku z tym, domem rodziców stało się mieszkanie mamy w Zalesiu Dolnym przy ulicy Spokojnej, obecnie Kasprowicza. W tamtych latach Zalesie leżało w powiecie grójeckim. Granicą między powiatami grójeckim i piaseczyńskim były obecne ulice Kościelna i Czajewicza, dalej była Wola Piasecka należąca do parafii Jazgarzew. Zmiana nastąpiła w 1952 roku w ramach reformy administracyjnej.

W Zalesiu chodziłem do Szkoły Podstawowej nr 2 popularnie zwanej „krauzówką”. Dyrektorką tej szkoły była Ewa Krauze, postać znana w Zalesiu i bardzo dla tej miejscowości zasłużona. Byłem w drugiej klasie, gdy któregoś dnia podczas lekcji nauczycielka przekazała kilku uczniom, w tym i mnie, listy od dyrektorki szkoły. W kopertach były zaproszenia do niej do domu. Do grzecznych dzieci nie należeliśmy, więc od razu był rachunek sumienia i strach przed spodziewaną karą, ale czekała nas miła niespodzianka. Pani Krauzowa poczęstowała nas ciastem i przedstawiła młodego dryblasa w mundurze harcerskim, który zaproponował wstąpienie do zuchów. I zaczęła się działalność w zuchach, a potem w harcerstwie, w słynnej piaseczyńskiej „Czarnej Czterdziestce” działającej w szkole przy Chyliczkowskiej.

Z Zalesia do Piaseczna, do naszej kamienicy, sprowadziliśmy się w maju 1959 roku, po śmierci dziadka. W skrócie można powiedzieć, że zamieniliśmy się z ciotką mieszkaniem. W nowym domu przypadł mi pokój od ulicy. Atrakcją był balkon, pod którym rosła jabłotka. Którejś nocy obudziły mnie dziwne dźwięki. Wyszedłem na ten balkon, patrzę, a na dole dwóch milicjantów pałkami jabłka strąca.

Po przeprowadzce do końca roku szkolnego jeździłem na rowerze do szkoły w Zalesiu, a potem chodziłem do podstawówki i liceum przy ulicy Chyliczkowskiej. Budynek, w którym mieściły się obydwie szkoły, zbudowano w 1957 roku na niezabudowanym wcześniej placu.

W Piasecznie wszystko dla mnie było nowe, bo do tej pory niewiele znałem miasto, ale szybko się zaaklimatyzowałem. Pamiętam, że dużo było drewnianych budynków. Ot, choćby dom Kasztalskiego przy ulicy Kościuszki naprzeciwko Sienkiewicza, bardzo ładny parterowy drewniak wyburzony w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Teraz jest tam jakiś hotelik i zakład szklarski. W miejscu Banku Spółdzielczego stał niski, drewniany budynek, należący przed wojną do Żyda Flinta, brata słynnego Sruła, który miał herbaciarnię i wytwórnię wód gazowanych. Naprzeciwko zaś stała mała drewniana chałupka, w której swój zieleniak miała pani Zambrzuska. Wstyd się dziś przyznawać, ale zimą jej kosztem urządzaliśmy sobie z kolegami zabawę. Zieleniak ogrzewany był zwykłą kozą z rurą wyprowadzoną jako komin na dach. Wchodziliśmy od tyłu budynku na ten dach

i kawałkiem blachy przykładaliśmy komin. Zmykaliśmy na drugą stronę ulicy i patrzyliśmy, jak robi się afera.

Pamiętam też piaseczyńskie cukiernie, szczególnie dwie, które były na ulicy Sienkiewicza. Zaraz za rogiem ulicy jest parterowy budynek i tam miał cukiernię Stanisław Przestępny, który z czasem przeniósł swoją cukiernię do budynku, gdzie jest Dom Cechów. On miał najlepsze ciastka w Piasecznie. A druga cukiernia mieściła się w budynku, w którym teraz jest sklep wędkarski i należała do Zygmunta Bieńkowskiego. Przyjaźniłem się z jego synem i częściej bywałem na zapleczu niż w sklepie. Chodziliśmy tam na obrzynki ciastek, które zostawały po pokrojeniu na porcje ciast wyjętych z blachy. Dla dzieciaków to była atrakcja. Z lat późniejszych pamiętam bar mleczny w domu państwa Paprockich przy ulicy Kościuszki 34, w którym nieraz jako dorosły obiad jadłem.

Ale Piaseczno to nie tylko nowe miejsca, to także nowi ludzie - a nie brakowało w mieście barwnych postaci. Tak się złożyło, że z jedną z nich, mimo znacznej różnicy wieku, byłem zaprzyjaźniony. Mówię o doktorze Leonardzie Dajkowskim, ginekologu. Poznałem go w latach 60-tych, gdy był już starszym panem, ale wciąż pełnym życia mimo tragicznych przeżyć. W czasie wojny został aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu koncentracyjnego, a tam jakimś cudem trafił do orkiestry obozowej, w której grał na pile. I kiedyś, po tym obowiązkowym koncercie, zaczął polski hymn grać. Niemcy tak go skatowali, że została z niego kupa mięsa. Kolejny cud się wydarzył i Dajkowski przeżył. Ale jak tragicznie wszystko wyglądało świadczy relacja lekarza, będącego świadkiem tego wydarzenia. Ukazała się ona po wojnie w lekarskim czasopiśmie jako pośmiertne wspomnienie o doktorze Dajkowskim. A doktor w latach pięćdziesiątych zamieszkał w Piasecznie. Wynajmował gabinet w budynku naprzeciwko cmentarza. Jednego dnia przyjmował on, drugiego dnia dentystka. W gabinecie był jeden fotel i to dentystyczny i doktor, jako człowiek pomysłowy, przerobił go na dentystyczno-ginekologiczny. Doktor Dajkowski lubił samochody, przed wojną startował nawet w rajdach Monte Carlo. Po wojnie jeździł starą, przedwojenną „dekawką” z budą z dykty. Kiedyś, wezwany do porodu przyjechał tym samochodem i na wstępie zażyczył sobie, żeby przygotować mu rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, po czym poszedł do rodzącej. Ktoś z domowników, przerażony wizją pogrzebacza, wezwał milicję. Przyjechali, pytają po co ten pogrzebacz, a doktor mówi, że przewód odlutował się w samochodzie. Anegdota o doktorze zna pewno niejeden mieszkaniec Piaseczna i długo można by je opowiadać.

To bardzo ważne przekazywać takie opowieści młodszemu pokoleniu, by trwały w ludzkiej pamięci. Historię miasta tworzą przecież nie tylko domy, ulice, rynki, ale też losy jego mieszkańców.



Stanisław Hofman

ur. 1949 r. w Piasecznie

Fot. Małgorzata Kawka

Dom przy Sierakowskiego 13

Stojący przy ulicy Sierakowskiego mój dom rodzinny ma około stu lat. Pobudowano go na podwalinach poprzedniego budynku, który spłonął. Kamienica wygląda porządnie, ale niewiele brakowało, aby było zupełnie inaczej.

W latach pięćdziesiątych do budynku zostali wprowadzeni lokatorzy z tzw. specjalnego najmu. Czynsze przy takim wynajmie wprowadzono niskie - pięć piw kosztowało tyle samo, co miesięczna opłata za mieszkanie, a za piwo płaciło się 2 złote i 20 groszy. Taka była wtedy w Polsce gospodarka mieszkaniowa, że doprowadzono do ruiny wiele prywatnych kamienic. Mało którego z właścicieli kamienic stać było na ponoszenie kosztów nieustających remontów, często właściciel nie mieszkał we własnym domu i wtedy lokatorzy czuli się już zupełnie bezkarni. Przyjmowali zasadę, że im gorsze będą warunki w wynajmowanym lokalu, tym większe będą mieli szanse na otrzymanie nowego mieszkania w bloku. Mało, że nie dbali, to potrafili dewastować, np. część sufitu wyrwać. Nie można powiedzieć, że wszyscy lokatorzy tak postępowali, bo byli też porządni, przyzwoici ludzie, ale zniszczenia były. My tu mieszkaliśmy, widzieliśmy, że trzeba dach pokryć, rynnę poprawić, bo się urwała, robiliśmy to na bieżąco i jakoś się dom uratowało. No, takie były czasy, jakie były. Dobrze, że minęły.

Nie mieszkam w moim domu rodzinnym od wielu lat, lecz sentyment do niego mam wciąż taki sam, bo tu minęło moje dzieciństwo. Jedne z najmielszych wspomnień dotyczą rzecz jasna zabaw. Dookoła mojego domu jest działka, przez którą wtedy płynęła otwarta Perełka. Działka była zwykłą łąką, na której z kolegami graliśmy w piłkę. Zabawa skończyła się gdy ojciec tę łąkę zaorał i zaczął hodować warzywa. Podpowiedział mu to znajomy ogrodnik zapewniając, że dzięki Perełce gleba jest bardzo dobra. I miał rację. Pięknie tam rosły pomidory, róże, selery. A nam, dzieciakom, została rzeczka, która była wspaniałym miejscem zabaw od wiosny do jesieni. Na placu za domem Perełka wypływała z kanału, gdy słońce zaświeciło i woda się trochę nagrzała, robiliśmy tratwę ze związanych ze sobą dwu bali drewnianych, podciągaliśmy ją do kanału, spływało się ze sto metrów i zaczęliśmy zabawę od nowa. Cały dzień tak mogliśmy spędzić. Rodzice nas do szkoły stamtąd wyciągali. Albo robiliśmy fujarki z wierzby, kto lepszą zrobi, żeby głośniej gwizdać.

Rzeczka nikomu nie przeszkadzała, nigdy nie wylewała i mimo jej bliskości piwnice były suche, bo rury, którymi płynęła wszystko regulowały. Zabawy nad Perełką skończyły się, gdy obok naszego domu zbudowano przedszkole i rzeczka zamknięto w kręgach pod ziemią. Przedszkole postawiono na fundamentach starej łaźni, którą w latach trzydziestych ufundowała dla miasta piaseczyńska Polonia. Łaźnia działała jeszcze dobrych kilka lat po wojnie, piętrowy budynek wyglądał tak jak dziś, na górze były mieszkania, a na parterze łaźnia. W środku po lewej stronie było pięć, czy sześć kabin z wannami. W jednej kabinie były dwie wanny i śmieliśmy się,

że to małżeńska sala. Z prawej strony od ulicy była sauna, ale gdy byłem dzieckiem to ona już nie działała. Od podwórka był rząd kabin bez drzwi. Łaźnia była czynna raz w tygodniu, w soboty od bodajże godziny 8.00 do 20.00. Były wyznaczone inne godziny dla kobiet i dla mężczyzn.

Gdy miałem z jedenaście lat, to władze miasta łaźnię zamknęły, bo kocioł się popsuł. To był kocioł z parowozu zainstalowany tuż po wojnie, na tyle stary, że długo nie popracował. A jak zamknęli łaźnię, to przestali dbać o dach, woda się lała, minęło z dziesięć lat i budynek nadawał się do rozbiórki. Rozebrali go do fundamentu i pobudowali drugi taki sam z przeznaczeniem na przedszkole.

Pamiętam, że niedaleko tej łaźni przez wiele lat stał pusty dom, piętrowy, na wysokich podwalinach z kamieni. Kiedyś chyba był tam pożar, w końcu wszystko się zawaliło.

Tak jak mówiłem, nasza kamienica wygląda porządnie i niewiele się zmieniła od chwili budowy. Ma nowy dach i okna, ale układ mieszkań, bryła budynku są wciąż takie same. I tak samo jak przed laty jest podział na część mieszkalną, tę na piętach i usługową na parterze.

Teraz na parterze są sklepy, ale w czasach mojego dzieciństwa był tam zakład krawiecki pana Roszkowskiego, jeden z wielu takich zakładów w Piasecznie, bo to zawsze było miasto krawców. Krawców i szewców. Przed wojną krawcami byli sami Żydzi, jedynym krawcem Polakiem był Paprocki, z kolei szewcy to byli sami Polacy, a cholewkarze współpracujący z kamasznikami, to byli i Żydzi, i Polacy. Po wojnie przybyło polskich krawców. Jednym z nich to był właśnie pan Roszkowski. Pochodził ze wschodu, z Kresów, w czasie wojny jako podchorąży był w oflagu i tam jakiś Belg, czy Francuz, nauczył go kroju i szycia. Z tej niewoli przyjechał do Piaseczna chyba pod koniec lat 40-tych, odkupił od nas część domu i założył swój zakład. To był bardzo zdolny, chyba najlepszy krawiec w okolicy.

W ogóle w Piasecznie było w tamtych czasach sporo dobrych różnych rzemieślników. Niektóre z tych zawodów już zaniknęły. Tu gdzie jest parking swój zakład miał rymarz, był stelmach, za szkołą na Chyliczkowskiej - bednarz, był studniarz Dąbrowski. Kilku kowali było. Przy mleczarni na obecnej ulicy Jana Pawła II kuźnię miał pan Bodek, naprzeciwko obecnego Tesco stał dom kowala Wielogrocha. To w tym miejscu Piaseczno się wtedy kończyło, dalej były już tylko pola. Przy tym małym placyku w centrum miasta zakład miał najlepszy blacharz w okolicy, pan Jedliński. Było kilku fryzjerów. Tralewicz, Pietkiewicz, Gogol, Witkowski, Bogdański, który był z zamiłowania artystą teatralnym, organizował przedstawienia a jego syn został aktorem. Fryzjerów było sporo, ale inaczej niż dzisiaj, bardzo mało damskich, a ci co byli, mieli ogromne powodzenie. To wszystko zniknęło, zmieniło się. Zostało tylko w pamięci i na starych zdjęciach.



Wiesław Gotchold

ur. 1941 w Piasecznie

Fot. Małgorzata Kawka

Wspomina Jerzy Kaczyński

Drewniane domy na Żabiej

Moja rodzina związana jest z Piasecznem od pokoleń. Dziadkowie mieszkali przy ulicy Kościuszki naprzeciwko cmentarza parafialnego. Dom był trochę dziwnie zbudowany, bo od frontu był parterowy i tam na parterze dziadek miał zakład ślusarski, a od podwórka był piętrowy i tam były mieszkania. Tak się złożyło, że przed samą wojną warsztat zmienił właściciela i nowy właściciel w czasie wojny, albo tuż po niej, zrobił tam młyn gospodarczy. Na podwórko codziennie kilkanaście konnych wozów wjeżdżało. Okoliczni chłopcy przywozili zboże na kasze, otręby. Młyn był do początku lat sześćdziesiątych, potem tam była Spółdzielnia Inwalidów, a w końcu kupił to pan Modrowski. Postawił tokarnię i robili części do małego Fiata. Jak się to już przestało opłacać, przerobili dom na część mieszkalną i na sklep, ale od frontu to budynek wygląda wciąż tak samo.

Dziadkowie nie byli szczęśliwą rodziną, bo dzieci im młodo na gruźlicę umierały. Teodora zmarła w wieku 18 lat, Marysia w wieku 22 lat i Wiktor w wieku 26 lat. Ale wtedy tak było, że na gruźlicę dużo ludzi umierało.

Mój ojciec, Jerzy, bardzo wcześnie wyszedł z domu rodzinnego i zaczął samodzielne życie. Skończył technikum kolejowe, zaczął pracę jako maszynista na kolejce, z czasem ożenił się z obywatelką Piaseczna, Heleną z domu Poncyliusz. Mieli pięcioro dzieci. Mieszkaliśmy co rok gdzie indziej w wynajmowanych domach albo mieszkaniach. Przez jakiś czas mieszkaliśmy przy ulicy Czajewicza w domu Ignacego Wasiewicza, który był kolegą mojego ojca. Ojciec wynajął od niego dwa pokoje z kuchnią, był ładny ogródek, w którym ojciec postawił nam huśtawkę. Ale z czasem dom zaczął się walić i trzeba było zmienić mieszkanie.

Zamieszkaliśmy w domu pani Gasparini, która mieszkała w Warszawie, a nam wynajęła mieszkanie. Dokoła domu był ogród i my, jak to dzieci, łaziliśmy po drzewach. Właścicielka jak to zobaczyła kazała nam się wynosić, bo jej sad niszczyliśmy. W tym domu jest teraz przedszkole „Bajka”, budynek jest niezmienny, odbudowano go tak, jak wyglądał kiedyś.

Później mieszkaliśmy jeszcze przy ulicy Rejtana w drewniaku, naprzeciwko którego stał też drewniany elegancki domek, który do dzisiejszego dnia istnieje, a wtedy należał do rodziny żydowskiej. Ta rodzina miała synka Jurka, on przychodził do nas i matka go częstowała tym, co i my jedliśmy. Pewno nie raz jadł to, czego Żydom jeść nie wolno, ale to było małe dziecko i nic nie wiedziało. A smakowało mu wszystko. Przyjaźniliśmy się z tą rodziną długie lata. Oni wyjechali, a myśmy zostali w tym domu do śmierci ojca.

Piaseczno z lat mojego dzieciństwa było biednym, zaniedbanym miastem. Gdzieniegdzie brukowane jezdnie, chodniki takie, że z płyty na płytę trzeba było skakać. Przy głównej ulicy zaczęli powoli budować kamienice, ale tak to wszędzie były drewniane domy. Pamiętam jak

ulica Żabia wyglądała. Najstarszy dom miała pani Żagłowa. Jej chałupa była tak stara, że okna były tuż nad ziemią. Obok stał dwuizbowy drewniak z bramą pośrodku, która rozdzielała te dwie izby. Na rogu Kilińskiego i Żabiej chyba jeszcze stoi dom do rozbiórki, a ten drewniaczek był do niego przytulony. Obok był piętrowy dom, chyba miał podwaliny z kamienia, na pewno pośrodku budynku była brama.



Skrzyżowanie ulic Żabiej i Kościuszki.
Dziś w tym miejscu jest Bank
Spółdzielczy. Fotografia przedwojenna.
Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Potem był dom Pindelskiego, też drewniak, dom Poncyliusza – drewniak, dom Chruścińskich - drewniak. Przy Żabiej mieszkał Żyd Fajzon. On miał nowoczesną piekarnię w murowanym domu, ale dom mieszkalny od frontu to był drewniak. Moja babcia Poncyliuszowa, Rowiński nazywany Małym Olesiem - wszyscy mieszkali w starych drewniakach. Oleś Mały był rzeźnikiem. Tak dobrze zarabiał, że postawił budynek na rogu Kościuszki i Nadarzyńskiej, gdzie kiedyś była apteka. Mieli tylko jednego syna, Cezariusza, który bardzo dobrze się uczył, zdał maturę, a potem wysłali go do Francji i tam skończył Sorbonę, został profesorem.¹ Kamienica była na niego zapisana, ale on nieodpłatnie przekazał ją miastu.

Obok Olesia mieszkał Żyd, Flint. Ten robił wodę sodową. Sprowadzał dwutlenek węgla w butlach, do kadzi były zamontowane rozpryskiwacze, woda była bez przerwy mieszana, potem wlewali ją w butelki i rozwozili po Piasecznie. To nie było w żadnym zakładzie tylko w bramie. A wodę do tych kadzi Żyd, kaleka, przynosił w nosidlach z ulicy Źródlanej. Teraz ta ulica nazywa się Kilińskiego, jest asfalt, chodniki, a dawniej tam biło źródło ze wspaniałą, czystą wodą. Była tam mała studzienka, ledwo dwa kręgi i pompa. Można było calusieńki dzień pompować i woda wciąż napływała. Od studzienki wzdłuż ulicy ułożone były drewniane korytka i woda leciała nimi aż do łaźni i rzeźni.

Od Żabiej odchodziła ulica Wąska, równoległa do Kościuszki. To była naprawdę wąska ulica - może dwa albo trzy metry szerokości miała. Tam mnóstwo ludzi mieszkało. Po jednej i drugiej stronie jeden obok drugiego stały drewniaki, takie małe domki ze stromymi dachami. Ktoś tam chyba konia nawet trzymał.

1. prof. Cezariusz Rowiński (1934 - 1994) ukończył studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, natomiast na Sorbonie był dyrektorem Centrum Studiów Polskich, dop. red.

Ul. Kościuszki, warzywniak
pani Zambrzuskiej, początek lat
sześćdziesiątych XX w.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie



Od nas do kościoła szło się przez most, po jednej stronie był staw, woda spływała do niego od rzeczki z Orężnej i była taka czysta, że Żydzi z Nadarzyńskiej pranie tam robili. Na brzegu stał wielki stojak z zawieszonym na łańcuchach kotłem i tam gotowali bieliznę. Jak się zago-
towało to łańcuchy podciągali i bielizna lądowała w wodzie. Kobiety miały tary i na nich
wszystko prały. Od wiosny do zimy gwar tam był. A po drugiej stronie, gdzie skwer, to był
plac, na którym we wtorki i piątki handlowało się bydłem, a świniami handlowali w miejscu,
gdzie jest teraz ulica Młynarska. Tam był ogród, jakiś porzucony majątek, zgłiszczka i na placu
przed tym wszystkim odbywał się handel.

Na rynku od strony kościoła handlowali rolnicy, na samym rynku rzemieślnicy, a przy głów-
nej ulicy sprzedawali śledzie i inne ryby. Z rzemieślników to byli kołodzieje, szewcy, krawcy,
a handlem przede wszystkim zajmowali się Żydzi.

Szkoła była na Świętojańskiej jak i dziś. Mieściła się w dwóch długich, drewnianych bara-
kach. Kierownikiem szkoły był pan Reszczyk, potem pan Skręt. Ten pan Reszczyk to był bardzo
dobry człowiek. Uczył bardzo długo i wszystkie pokolenia go szanowały.

Jak skończyłem szkołę powszechną poszedłem do zawodowej i uczyłem się tokarstwa.
Gdy już zdałem egzaminy zacząłem pracować w warsztatach kolejki dojazdowej. W tam-
tych czasach kolejka dochodziła do Placu Unii Lubelskiej. Mieli bardzo duży warsztat,
w którym naprawiane były parowozy, wagony osobowe i towarowe, budynki dochodziły
prawie do kościoła na Placu Zbawiciela.

Potem ludzie zaczęli narzekać, że pociąg w środku Warszawy przeszkadza i wyrzucili
kolejkę poza miasto, pierwszy przystanek zrobili tam, gdzie po wojnie była zajezdnia auto-
busowa. Wtedy też kupili w Piasecznie plac i zagospodarowali wszystko, postawili budynki
i powoli cały warsztat przenieśli tutaj.

Kolejka dawała dobrą, stałą pracę i była żywicielką wielu ludzi, od konduktorów do
spinaczy, czyli tych, co utrzymywali torowisko w porządku. Cały czas podkłady były spraw-
dzane, jedne wybijane, zakładane nowe. Jak kolejkę przejęło PKP to już nie działo się tak
dobrze, jak wcześniej, nie było tak dopilnowane. Kiedyś tor do Warszawy był tak dobrze
ułożony, że pociąg jechał 40 – 50 km na godzinę. Jak PKP przejęło kolejkę, to kolejarze
bali się jeździć, bo tor się woził. Zaczęła się też konkurencja autobusowa i kolejka dużo
ze znaczenia straciła.



Popularna „ciuchcia” w drodze do Góry Kalwarii, Stefanów, lata sześćdziesiąte XX w.

Fot. Stanisław Hofman

A że mój dziadek zawsze mówił, że w jednej fabryce wszystkiego się nie nauczę, to poszukałem innej pracy. Dowiedziałem się, że w Grabowie uruchomili fabrykę części lotniczych, że ciekawe rzeczy robią. Zgłosiłem się, przyjęli mnie i byłem tam do wojny.

Jak we wrześniu ogłosili powszechną mobilizację to doszedłem aż do Lublina i tam dowiedziałem się, że Rosjanie weszli na teren Polski. Pytam oficerów, co trzeba robić, a oni mówią, żeby wracać do domu. Z Lublina do Karczewa doszedłem na piechotę i chciałem w piekarni kupić sobie kawałek chleba. Za mną Niemcy weszli, karabiny we mnie wycelowali, zaprowadzili na plac, a tam już ciasno, tylu ludzi było jak i ja złapanych. Wszystkich nas było z 11 tys. Prowadzili nas i prowadzili w głodzie, bez wody. Mijaliśmy takie duże pole marchwi i jak się bractwo rzuciło to w przeciągu sekundy marchwi nie było, chociaż Niemcy chodzili i strzelali nad głowami. Doszliśmy tak aż do Prus Wschodnich, do miejscowości SchönenLinden, i tam pracowałem u Niemca w gospodarstwie rolnym. Do Piaseczna wróciłem w 1943 roku.

Jerzy Kaczyński na robotach w Niemczech, rok 1941.

Fot. archiwum rodzinne Jerzego Kaczyńskiego



Jak powstała szkoła zawodowa w Piasecznie

Szkołę zawodową stworzyło od podstaw czterech zapaleńców: Andrzejewski, Wojewódzki, Felczyńska i ja. Zaczęło się to w 1950 roku. Najpierw powstała szkoła wieczorowa. Nasz dyrektor Roman Andrzejewski dogadał się z kierownikiem szkoły podstawowej, że gdy skończą się ich lekcje, to w salach będą zajęcia dla naszej młodzieży. I tak było. To poszło łatwo, trudniej było zorganizować zajęcia zawodowe, bo do tego potrzebne są stoły, narzędzia, imadła, pilniki, no i fachowcy.

Z pomieszczeniami pomógł nam pan Lipiński. On mieszkał przed wojną w Warszawie. Miał tam dużą fabrykę rowerów, ale w czasie Powstania wszystko stracił i przyjechał do Piaseczna. Przy ulicy Czajewicza miał mały zakład rowerowy. Pamiętam, że przez jakiś czas nie miał w tym zakładzie silników elektrycznych, tylko był napęd poprowadzony od maszyny parowej do rolek przy suficie, a stamtąd do poszczególnych maszyn. I obok zwykłych rowerów produkował cyrkowe. W każdym razie tak się stało, że dwa pomieszczenia z tego zakładu dał szkole bezpłatnie. Ja miałem stary samochód i nim ze szkół warszawskich z tego, co tam zbywało, poprzywoziliśmy dużo narzędzi i mogliśmy zacząć szkolić młodzież.



Skrzyżowanie ulic Czajewicza i Sienkiewicza, przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w., w budynku po lewej mieściły się w tamtych czasach warsztaty Zespołu Szkół Zawodowych, przed II wojną światową była tam piekarnia Felnera. Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Narzędzi już było dużo, ale brakowało tokarki i wiertarki, a dowiedzieliśmy się, że po pewnym zakładzie, który był na Czajewicza, są maszyny do kupienia. Dyrektor zrobił zebranie rodziców i powiedział - a miał dar przemawiania - „Panie, panowie potrzebujemy pieniędzy, żeby kupić chociaż dwie maszyny”. I rodzice zgodzili się na zbiórkę, chociaż trzeba było wpłacić 200 zł, a to była wtedy duża kwota. Zebrał te pieniądze, kupił maszyny i byliśmy prawdziwą szkołą zawodową.

Powoli dorabialiśmy się nowych maszyn i imadeł, bo pierwsze mieliśmy takie toporne, ciężkie, kowalskie. Ostatecznie mieliśmy kilkanaście maszyn różnego rodzaju, a ostatnia została sprowadzona maszyna do robienia kół zębatach. Mieliśmy tak dobrą opinię, że warszawska fabryka dźwigów ZREMB zleciła nam wykonywanie podzespołów do ich dźwigów.

Jako nauczycieli zatrudnialiśmy fachowców z zamykanych fabryk. Pierwszym zatrudnionym był pan Rowiński, fachowiec od ślusarstwa, grawer z zawodu, drugim pan Edmund Skrzyszewski. On był po szkole Wawelberga, bardzo zdolny człowiek, został kierownikiem warsztatu. Był też pan Luśkiewicz. On był w niemieckiej niewoli, pracował w Hamburgu w stoczni i uczył nas podpatrzonych tam wynalazków, np. nowego sposobu montowania narzędzi do stołu. Ja miałem opinię bardzo wymagającego, ale nie chciałem rzeczy niemożliwych, chodziło mi zawsze o punktualność, odpowiednie odzywanie się do młodzieży i uczciwą pracę.

Niby mieliśmy lokal, ale wciąż było ciasno a chcieliśmy, żeby młodzież uczyła się w jak najlepszych warunkach. Przy Czajewicza, tam gdzie teraz jest Wydział Geodezji, przed wojną miał swoją piekarnię Żyd, Felner. Budynek po piekarni stał niewykorzystany, bo kiedyś nie wolno było likwidować piekarni, mimo że nie była używana. Nie wolno było rozebrać pieca na wypadek wojny. Takich nieczynnych piekarni było w Piasecznie osiem. Piekarnia tego Felnera też tak stała, ale Andrzejewskiemu tak udało się dogadać z władzami miasta, że przekazali nam budynek na warsztaty.

Już było lepiej, ale i tak miejsca nam brakowało. Obok nas jeden jegomość z Góry Kalwarii miał duży plac i Andrzejewski zaczął z nim rozmawiać, czy nie zamieniłby się na inny. Człowiek się zgodził, wtedy Andrzejewski wyprosił od miasta plac naprzeciwko kolejki na rzecz szkoły, zrobił zamianę i dzięki temu przy dawnej piekarni zaczęły powstawać kolejne budynki warsztatowe. Najpierw powstał budynek za tym wolnym placem. Z Baniochy kolejką przywożono wagony cegieł. Uczniowie je sami rozładowywali, sami wapno mieszała a dopiero jak wszystkie materiały były gotowe, to przychodzili murarze do pracy. Cegły na budowę przywoziliśmy z Gołkowa, z rozbiórki opuszczonej remizy strażackiej. Dyrektor po lekcjach kupował w piekarni bułki i zawoził chłopaków do rozbierania tego budynku. Żeby przewieźć tę cegłę tośmy się zaznajomili z kierownikiem młyna, bo tam mieli traktor z przyczepą. Młodzież wszystko przygotowała, rodzice pomagali. Kilku ojców było murarzami i w niedziele przychodzili budować szkołę. Ten trzeci budynek, co stoi na wprost, to już bez udziału uczniów zbudowano.

Wszystko szło dobrze, ale nikt z nas nie należał do partii, a ja do tego w chórze kościelnym śpiewałem i zarzucali mi, że młodzież do kościoła zachęcam. A w tym czasie w Piasecznie były dobre chóry, takie jak przed wojną w Jagarzewie. Tam był wspaniały chór, w którym śpiewało czterdzieści osób, prowadził go pan Ozimiński. Myśmy z Piaseczna na Pasterkę piechotą szli do kościoła w Jagarzewie, żeby posłuchać jak pięknie śpiewają koledy. Po wojnie ten sam pan Ozimiński na kolejce założył chór męski. Śpiewało nas wtedy

dwadzieścia trzy osoby, prawie wszyscy młodzi ludzie i to były potężne wspaniałe głosy. Były też chóry przykościelne - jeden w Piasecznie i drugi w Pyrach. Prowadziło je dwóch Chmielewskich, którzy mimo takich samych nazwisk nie byli rodziną. Ten w Pyrach był chórzystą Teatru Narodowego, dobrze grał na organach. Zdarzało się, że łączyli te dwa chóry. I w tym kościelnym też wtedy śpiewałem, a to się władzy nie podobało.

I władza miała haka. Zaczęli przymuszać do wstąpienia do partii, grozić zamknięciem szkoły. Nikt do partii nie wstąpił i były konsekwencje. Ja i Rowiński zostaliśmy, bo wziął nas w obronę stary komunista, pan Marzec. Był pracownikiem kolejki, znał się z moim ojcem. Często się kłócili, bo ojciec był piłsudczykiem, ale Marzec zawsze powtarzał, że jeśli ktoś w coś wierzy, to powinien być wierny swoim przekonaniom. Na komisji powiedział tak: jak wy ich przyłapiecie, że młodzież ciągną do kościoła, to ja sam ich wyrzucę z pracy. Zostaliśmy, ale niedługo.

A dyrektora znieśli ze stanowiska, dali mu posadę w Ursusie, został tam zaopatrzeniowcem. Strasznie z tego powodu cierpiał. Zmarł wcześniej, można powiedzieć, że zagryzł się tym. Ta szkoła była całym jego życiem, serce jej oddał.

Jerzy Kaczyński

ur. 1914 r. w Piasecznie

Fot. archiwum rodzinne Jerzego Kaczyńskiego



Wspomina Wojciech Kaczyński

Piaseczno mojego dzieciństwa

Urodziłem się w kamienicy przy Sierakowskiego 21 i wciąż tu mieszkam. Dom ma swoje lata. Budynek frontowy powstał 120 lat temu, a część od strony podwórka dobudowano w dwóch etapach w okresie międzywojennym. Na parterze od strony ulicy był sklep i zakład szewski, a pozostałe lokale były zawsze wynajmowane.

Ulica Sierakowskiego,
przełom lat sześćdziesiątych
i siedemdziesiątych XX w.
Fot. Jacek Mrówczyński



Po wojnie lokatorzy byli przydzielani odgórnie przez władze. Nikt nie pytał właściciela kamienicy o zdanie. W naszym domu jest dziewięć lokali, do mieszkania było siedem. To były nieduże, dwuizbowe mieszkania. Norma socjalna była wtedy 7 m kw. na osobę, ale zdarzało się, że do lokalu przydzielano liczniejszą rodzinę, albo dzieci przybywało i w mieszkaniu było coraz ciasniej. Czynsz też narzucano, były ustalone bardzo niskie stawki urzędowe i koniec. Istotne było, ile było w domu lokali usługowych, im więcej tych lokali, tym czynsz był wyższy. Ale właściciel nie dostawał pieniędzy do ręki. One szły na specjalne przymusowe konto i jak się jakaś suma uzbierała, to można było zrobić remont. W naszym domu był wtedy jeden mały lokal usługowy i na remont dachu zbieraliśmy kapitał od czasów powojennych do 1975 roku. A gdy pięć lat później trzeba było zrobić elewację domu, to już inwestowaliśmy własne pieniądze, żeby nie czekać kolejnych dwudziestu paru lat. Dom by tego nie wytrzymał. Niejedna kamienica w ruinę popadła, bo właściciel nie miał pieniędzy na remonty, a lokatorzy rzadko kiedy dbali o nie swoje mieszkanie, o cudzy dom.

Tak się szczęśliwie składało, że w naszej kamienicy zamieszkali ludzie, którzy zdawali sobie sprawę, że jeśli razem zadbamy o klatkę schodową, o podwórko, to dla wszystkich będzie się lepiej mieszkać. Byli chętni do pomocy, współpracy, a nawet do inwestowania. Widocznie czuli do tego miejsca jakiś sentyment, przywiązywali się do niego. Znam panie, które od dziecka mieszały w naszym domu. Są starsze ode mnie i jak moja matka miała jakieś zajęcie, to one spacerowały ze mną w wózku. Kilka lat temu musiały się wyprowadzić, ale gdy tylko któraś lepiej się czuje, to przychodzą tu i przynajmniej popatrzą na dom.

Od czasów mojego dzieciństwa mój dom nie zmienił się, ale zmieniła się ulica. Po pierwsze, ludzi mniej przy niej mieszka. Sierakowskiego to zawsze była ludna ulica. W czasach mojego dzieciństwa mieszało tu chyba ze sto trzydzieści osób. Dużo rodzin w tamtych czasach, mimo biedy i ciasnoty, było wielodzietnych. Często taka rodzina mieszała w jednej izbie podzielonej zasłonką, po jednej stronie zasłonki była kuchnia i miednica do mycia, a po drugiej łóżka. W naszej kamienicy było osiemnaścioro dzieci, rozpiętość wieku między nami była jakieś siedem lat. Na całej ulicy było takich dzieciaków około osiemdziesięcioro. W tej chwili nie wiem, czy jest dwoje.

I to nie było wyjątkowe pod tym względem miejsce w Piasecznie. Podobnie było na Nadarzyńskiej czy w Pekinie. Pekinem nazywaliśmy osiedle przy ulicach Jerozolimska i Topolowa. Przed wojną w tamtym miejscu był las, Żydzi pobudowali domy letniskowe i w tych domach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mieszało mnóstwo ludzi. Bardzo licznie zamieszkały był też dwupiętrowy dom na rogu ulic Czajewicza i Krótkiej tzw. Szanghaj. Parter budynku był murowany, piętra drewniane, mieszkania były małe, przeważnie pokój z kuchnią. Dużo ludzi mieszało w pobliżu rynku. Tam, gdzie teraz nowe sklepy pobudowali stał budynek dwupiętrowy, z tyłu za nim, od ulicy Zgoda, był jeszcze jeden, a między nimi mniejsze domki stały.



Targ przy ulicy Sierakowskiego, dziś parking miejski obok Urzędu Miasta. Lata siedemdziesiąte XX w.
Fot. Jacek Mrówczyński

Dosyć zaludniony był teren przy obecnej ulicy Jana Pawła II. Część terenu przy tej ulicy to były ogrody księdza, ale za nimi zaczynała się Piasecka Wieś. Tam mieszkali piaseczyńscy rolnicy, w jednym domu trzy-cztery pokolenia żyły. Pola uprawne ciągnęły się od kolejki aż pod Mysiadło. Dla małych chłopaków tamto miejsce był rajem. Wyprawa przez pola do ewangelickiego kościoła w Iwicznej była wielką przygodą, szczególnie zimą, jak śnieg chrząścił pod nogami. Kościół był nieczynny i jeden drugiego podsadzał, żeby zajrzeć do środka, jakby tam nie wiem jakie cuda były.

Obok naszego domu, pod numerem 22, stał drewniany dom państwa Sierackich i była tam restauracja, jedna z ośmiu czy dziesięciu prywatnych piaseczyńskich restauracji. Pamiętam ją, bo jako mały chłopak zaglądałem do środka przez niskie okna. Spotykali się tam rzemieślnicy, a w targowe dni chłopci z okolicznych wiosek. W latach 1950 - 1952 takie restauracje zaczęło przejmować państwo. Tę w domu państwa Sierackich zlikwidowano, a w jej miejsce ulokowane zostało Przedsiębiorstwo Budownictwa Mieszkaniowego. To była firma, która zjednoczyła blacharzy, murarzy, elektryków. Tak naprawdę, to oni nic nie budowali, ale zajmowali się remontami.

Tuż obok była prywatna rozlewnia piwa i wytwórnia lemoniady. Latem, w czasie upału, było na te lemoniady duże zapotrzebowanie. Cała rodzina pracowała przy ich produkcji, dzieciaki też. Dziadek świtem wstawał, gotował syropy o różnych smakach, a potem każdy dostawał miarkę do ręki i zaczynało się nalewanie tych syropów do butelek. Jaki to był rewelacyjny smak i zapach tych lemoniad. Niezapomniany.

Piwo przywozili z browaru w Warszawie. Dzieciaki z całej ulicy się zbiegali patrzeć na rozładunek wielkich beczek z piwem. Staczali te beczki z samochodu na opony od traktora, a z nich, powoli, przetaczali do chłodni. Tak mi się to podobało, że od małego dziecka chciałem być wozakiem.

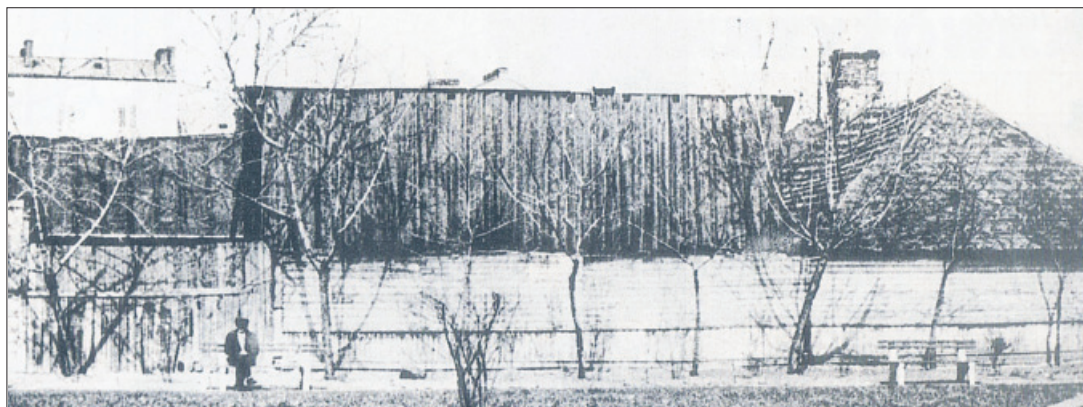
Przy małym rynku, między ulicami Sierakowskiego a Kościuszki stoi teraz szary, nie pasujący do niczego budynek. W czasach mojego dzieciństwa w tym miejscu stał murowany dom, parterowy, z wysokim dachem z blachy i był w nim słynny sklep Dąbrowskiego „Ola”. Jako mały dzieciak miałem w domu funkcję zaopatrzeniowca i biegałem tam po zakupy dla babci i mamy. Obok był sklep „Malinka” i to też był słynny na całe Piaseczno sklep. Za ladą stały dwie panie, Stasia i druga chyba Maria, i one handlowały cały tydzień, w niedzielę też. Lokal był nieduży, z jednej strony pod ścianami stały skrzynki z winem, a z drugiej poustawiane były wyrabiane przez cukierników ciasteczka na wagę, batony „Józefinki”, czekolady ułożone spiralnie w wysokie stosy. I tam, w tym sklepie, od rana do wieczora stała kolejka spragnionych łakomczuchów i alkoholików, z tym, że latem często piwa brakowało, ale czekolady nie zabrakło nigdy.

Między dawną łaźnią, a tym wysokim budynkiem, w latach siedemdziesiątych były jatki, czyli kilka zwykłych drewnianych bud z dużą okiennicą otwieraną do góry, w których w dni targowe handlowano mięsem. Wcześniej mięso kupowało się inaczej i gdzie indziej. Po drugiej stronie naszej ulicy stoi dom-bohater, bo w latach sześćdziesiątych były w nim dwa punkty sprzedaży mięsa. Dwie panie tym mięsem handlowały, a żeby było uczciwie to każda sprzedawała w innym dniu tygodnia.

Ważne w tej historii jest to, że ten proceder był nielegalny, ale bardzo potrzebny ludziom. Polityka Gomułki doprowadziła do tego, że w sklepach zrobiły się pustki. Odważniejsi oraz bar-

dziej przedsiębiorczy obywatele jeździli na wieś i kupowali mięso od rolników. Wszystko było nielegalne, bo rolnicy mieli kontraktacje, mogli mieć tylko tyle zwierząt hodowlanych, ile wyznaczyło im państwo. Za nielegalną hodowlę i ubój, za handel takim nielegalnym towarem groziły wysokie kary z więzieniem włącznie, co jednak nie zniechęcało do takich działań.

Naprzeciwko tych jatek od zawsze był teren należący do Rowińskich. Ponieważ w Piasecznie Rowińskich było wielu, ta rodzina miała przezwisko „Górki”, a ich posiadłość ciągnącą się aż do ulicy Sierakowskiego nazywano w mieście „banderozą”. Tam, gdzie teraz jest urząd gminy, stał porządný budynek, w którym Rowińscy przed wojną mieli wytwórnię wędlin, obok niej stało jeszcze kilka drewniaków, porządnie budowanych, na kamieniach. Jak w latach sześćdziesiątych rozbierali te domy, to drewno jeszcze zdrowe było, nie rozsypywało się.



Miejsce, w którym dziś znajduje się Urząd Miasta i Gminy Piaseczno. Na zdjęciu zespół budynków, których właścicielami była rodzina Rowińskich.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Stary, porządný dom, parterowy z kolumnadą na ganku, stał na rogu ulic Warszawskiej i Młynarskiej. Mieszkał w nim pan Eugeniusz Wilczyński i on opowiadał, że to była kiedyś karczma, był bardzo dumny, że w starym domu mieszka, a jego rodzina jest zasiedziała w Piasecznie.

Ale bez względu na to, czy domy były drewniane czy murowane, to było w nich czysto. Naprawdę rzadko się zdarzało, by ktoś o czystość i porządek nie dbał. Ludzie sprząтали nie tylko swoje mieszkania, ale i klatki schodowe, podwórza co sobota były zamiatane. To było normalne. Nie było kanalizacji, wodę założyli na naszej ulicy z początkiem lat sześćdziesiątych, ale i wtedy woda z kranu w domu nie leciała. Były na ulicy pompy ręczne, jedna przed naszym domem, druga naprzeciwko restauracji i trzeba było wodę w wiadrze do domu przynieść.

Przy praniu ile było roboty. Robiło się je dwa – trzy razy do roku. Każda gospodyni miała wielką balię, w której stawiało się tarę, wyżymaczkę dokręconą do balii, kocioł do gotowania pościeli. Trzeba było przynieść dziesiątki wiader czystej wody potrzebnej do prania, płukania, farbkowania, krochmalenia. Ile ja się po schodach naganiałem wnosząc te wiadra z wodą. A trzeba było jeszcze wynieść wiadra mydlin. Jak deszcz padał wylewało się je na ulicę, a jak było sucho - na podwórko. To dlatego, gdy przychodziły upały, podwórka miały specyficzny zapach.

To jeszcze nie był koniec roboty, bo wysuszoną i ukrochmaloną „na blachę” pościel trzeba było wymaglować. Magiel był na Nadarzyńskiej, właścicielką była pani Kaczmarska. Stały tam cztery wielkie maglownice, z trzech mogły korzystać same klientki, ale czwarty obsługiwała tylko właścicielka. Do dziewięćdziesiątego roku życia pracowała machając ręcznie wielkim kołem.

Dzieciaki się wtedy nie nudziły, o nie. Pomoc w domu to była normalna sprawa, do szkoły się chodziło przez sześć dni w tygodniu, w soboty też. A warunki w szkole nie przypominały dzisiejszych.

Szkoła była wtedy, tak jak i dziś przy Świętojańskiej, ale tłoczno w niej było. W tym jednym budynku były dwie szkoły podstawowe z dwiema dyrekcjami. Dzieciaki z podstawówek kończyły lekcje, a zaczynała zajęcia szkoła wieczorowa. W klasach stały piece, ławki to była zbieranina. Podłogi były zniszczone przez wojskowe buty, bo w budynku w czasie wojny stacjonowało niemieckie wojsko, był ich szpital. Jak się przejechało tyłkiem po tej podłodze to drzazgi się wbijały. W 1957 roku pobudowali szkołę na ulicy Chyliczkowskiej, przenieśli tam po dwie klasy i zrobiło się trochę lepiej. Do tej nowej szkoły przenieśli też liceum. Wcześniej mieściło się ono na ulicy Zgoda w jednym z budynków ośrodka siostr Małgorzatek obecnie Pasterzanek. Bo siostrą po wojnie odebrano część ośrodka i utworzono tam najpierw liceum a potem szkołę zawodową, która z czasem powstała na ulicy Szpitalnej.

Ubogie to wszystko było, ale dzieciaki tego nie czuły, bo wszyscy byli równi w biedzie. Nawet jak komuś się lepiej powodziło, to nie było tego na co dzień widać. Kto dziś z młodych uwierzy, że chłopcy w pończochach do szkoły chodzili. Miało się taki pas i do niego pończochy pod spodenkami były przypięte. A jak za gorąco było to się pończochy rolowało w skarpetki. Dziewczyny też w pończochach chodziły, takich prążkowanych. Byłem w siódmej klasie i jedna z koleżanek przyszła w elastycznych pończochach. Wszystkie koleżanki z zazdrością patrzyły.

Ubrania młodszy donaszali po starszych. Rzeczy były nicowane, przerabiane, a jak ktoś miał nową rzecz to nosił ją od święta, na specjalne okazje. Pamiętam moje pierwsze nowe i porządne ubranie. To był 1957 rok i pojechaliśmy nad morze do Kątów Rybackich na wakacje. Kuzynka opowiadała jaka tam jest wyżerka rybami, że za grosze od rybaków się kupuje. Byliśmy z bratem ubrani jak bliźniaki. Wujowie zrobili nam letnie pantofle, mieliśmy jasnoszare spodnie, jasnobłękitne koszulki z krótkim rękawem i czerwone kamizelki zrobione na drutach przez panią Henię, piaseczyńską artystkę rękodzieła. Buty też zawsze po starszych były. Na zdjęciu z mojej pierwszej komunii widać, że dużo dzieci na nogach zamiast eleganckich pantofelków ma zwykłe trampki.

Ale nam, dzieciakom, nic wtedy nie przeszkadzało. Przyjmowało się wszystko jak było i tyle. Ciągłe w ruchu byliśmy, ciągle mieliśmy zajęcie. Robiliśmy sobie hulajnogi. Szło się na złomowisko przy kolejce po łożyska. Trzeba je było przykręcić do deski, z drugiej deski robiło się kierownicę i dalej jazda. Jak taka hulajnoga po ulicznym bruku przejechała to rumor był niesamowity. Ale jeszcze większy rumor robiła obręcz pchana patykiem. Pięciu czy sześciu chłopaczysków przez ulicę z obręczą przebiegło i huk nie do wytrzymania powstawał.

A w Piasecznie wtedy cisza była. Moja babka mieszkała za obecną obwodnicą, trochę dalej niż obecny zakład „Eris” stoi. Jak babcia tam krzyknęła do swojej wnuczki „Elżuniu!”, to ja tu słyszałem, na Sierakowskiego. Taka była cisza. Samolot raz na jakiś czas przeleciał, autobusy rzadko jeździły, samochody kilka osób miało. Doktor Dajkowski, który mieszkał z rodziną

w naszym domu, miał starą dekawkę. Dekawkę, tylko kabriolet miał też przez pewien czas mój ojciec. Pamiętam kilka wypraw tym samochodem. W Piasecznie samochód miał jeszcze doktor Danielewicz, pan Grabowski, który miał BMW kupione w połowie lat pięćdziesiątych od marynarza i drugi pan Danielewicz, właściciel masarni.

A pierwszym piaseczyńskim przedsiębiorcą przewozowym był pan Paprocki. On miał przed wojną niedużą ciężarówkę Opla. Jak zaczęła się okupacja, to samochód rozebrał na części i każda część była u kogo innego przechowywana. Po wojnie samochód złożył i zaczął zarabiać rozwозяc towary do sklepów. Był bardzo pomysłowym człowiekiem. Samochód był na ropę, ale on zrobił wytwornicę gazu, karbid chyba do tego wykorzystywał.

Jakiś czas później firmę transportową uruchomił pan Ruszkiewicz. On miał trzy resorowce a firma mieściła się na ulicy Sienkiewicza, tam gdzie dziś sklep Biedronka stoi.

Był też w tamtym czasie w Piasecznie pierwszy taksówkarz. Miał starą dekawkę, po pracy stawiał ją przed sklepem „Ola” i czekał na klientów. Autobusy rzadko jeździły, tłok w nich był niewyobrażalny, do tego ludzie w czasie jazdy palili papierosy, bo wtedy wolno było palić wszędzie, więc chętnych na kurs było wielu.

Większy hałas niż przejeżdżające miastem samochody robiliśmy na Wielkanoc jak się strzelało z karbidu. Już zimą kombinowaliśmy jak karbid zdobyć. W domach były lampy karbidowe, ale rodzice pilnowali, żeby karbidu nie wybierać. U nas też była karbidówka i bałem się jej w dzieciństwie, bo jak się płomień palił, to woda się skraplała i strzelało wtedy głośno. U dróżnika kolejowego z lamp ten karbid wybieraliśmy, potem kładło się go do puszki albo wpychało do klucza i strzelanie przez cały Wielki Tydzień odchodziło. Można jeszcze było z kalichlorku strzelać i od tego specjalistami byli chłopcy z Nadarzyńskiej. Kalichlorek w szmatę zwinięty kładli na kamieniu i rzucali w to drugim kamieniem z dachu komórki. Huk był niesamowity. My byliśmy specjalistami od puszek i klucza.

Bawiliśmy się w chowanego, w „nogę” graliśmy albo w „zośkę”. Lotkę do „zośki” robiło się z ołowianego krążka i trzeba było ten krążek podbijać nogą jak najdłużej. Był taki specjalista z Nadarzyńskiej, co potrafił podbijać bez przerwy przez całą drogę do szkoły na Świętojańskiej.

Dobrej piłki do „nogi” nikt nie miał. Grało się starociami. Mieszkali u nas bracia Jedlińscy i mieli piłkę, którą po każdym meczu trzeba było łątać i kleić, a mecz toczył się do chwili, gdy łąta odpadła i pęcherz się pokazał. Najczęściej graliśmy gumowymi piłkami i uderzenie taką piłką długo się czuło. Mecze grało się na podwórkach albo obecnym skwerze Kisiela. Kiedyś był tam targ zbożowy, jak już się wszyscy chłopcy rozjechali, to myśmy tam wkraczali. To było dobre miejsce na grę w nogę, nie tylko dla nas, dzieciaków. Starsi też przychodzili. Opowiadał mi nieżyjący już znajomy, że w czasie wojny, gdy na tym placu mecze rozgrywali, to mieli nieraz widowni i tysiąc osób.

Zimą też na tym placu zabawy odchodziły. Żeby na sankach pojeździć to była duża wyprawa, bo wysoka górką była na końcu Piaseczna. Czasem rodzice nie puszczali, czasem my nie mieliśmy chęci iść tak daleko i robiliśmy górkę na tym placu.

Obok budynku, w którym do niedawna istniało pogotowie ratunkowe, była skarpa, schodów tam wtedy nie było, tylko kamienna droga prowadziła w dół. Jak spadł śnieg przychodziło dwudziestu czy trzydziestu chłopaków i zaczynaliśmy się z tej górki ślizgać. Każdy trochę dalej zjeżdżał i nieraz ta ślizgawka od ulicy do ulicy była. Godzinami była zabawa.

Były też i inne zimowe atrakcje. Kiedyś zimy były śnieżne, ulice nie były sprzątane, solą nie sypane. Jak autobusy śnieg ubiły to się świetnie na łyżwach za autobusem jeździło. Gorzej było, gdy pojazd nabierał prędkości i trzeba było się puścić. Z ładowaniem było różnie. W takiej jeździe to się chłopcy z Nadarzyńskiej specjalizowali.

Atrakcją była też jazda za saniami na płozach, łyżwach albo sankach. Samochód mało kto miał i chłopci do miasta saniami przyjeżdżali. Były takie na dwóch płozach lub na czterech, co wyglądały jakby wóz zamiast kół miał płozy. Chłopci się złościли za podczepianie się do sań, niejeden batem świsnął, ale warto było ryzykować. Często jak się do szkoły szło, to z takiej „podwózki” korzystaliśmy. Gorzej jak na przejeździe kolejowym pociąg jechał i konie się płozżyły, dęba stawały. To już było i niebezpieczne i przerażające.

A na łyżwach to jeździło się na stawie w parku chylickowskim. Za naszych czasów park już był otwarty dla wszystkich. Przed wojną tak nie było, posiadłość chylickowska była od reszty miasta odgradzona wysokim murem. Mieszkańców Piaseczna wpuszczano na teren w wyjątkowych sytuacjach.

Zimą zezwalano korzystać ze ślizgawki na stawie. Wiele osób mi o tym opowiadało, nawet mój wujek tam piruety z powodzeniem kręcił. Bo moja mama miała trzech braci, każdy szewcem został, ale każdy miał inne upodobania. Jeden kochał sport, drugi był strażakiem, a trzeci lubił kobiety, muzykę poważną i jazdę na łyżwach. Robił buty i słuchał muzyki poważnej. Często z nim przesiadywałem i nauczyłem się wtedy muzyki słuchać. Nigdy go na łyżwach jeżdżącego nie widziałem, ale z opowieści starszych ode mnie wiem, że był świetnym łyżwiarzem.

Z opowieści starszych ludzi wiem też, że z kolei latem organizowano w Chylickach dla małych dzieci ochronkę. Mama mi opowiadała, że na wprost „poniatówki” stał czteroizbowy budynek i tam była ochronka. Po dzieci wychodziły do furtki uczennice, ładnie ubrane, w fartuszkach. Dzieci miały zapewnioną opiekę, całodienne wyżywienie, a te starsze przygotowywano do komunii świętej i do szkoły. To wszystko było bezpłatne. Mówiła też mama, że ta szkoła miała pozytywny wpływ na miasto. Na przykład raz na jakiś czas prowadzone były otwarte pokazy pieczenia ciast, robienia przetworów, gotowania smacznych i zdrowych potraw. Kobiety się wiele wtedy uczyły.

W czasach mojego dzieciństwa mur jeszcze stał, rozebrano go dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych, ale furtki były pootwierane i wchodził tam, kto chciał. Park był zdewastowany i to wcale nie rodowici mieszkańcy Piaseczna zrobili, chociaż swoje na pewno też dołożyli. Po prostu, do nowo powstających zakładów przyjeżdżali ludzie z całej Polski, po pracy czy w dni wolne kupowali jakieś piwo i szli do opuszczonego parku pić w krzakach.

Te zapuszczone miejsca były świetnymi terenami do zabawy. Mieliśmy swoje tajne przejścia i spędziliśmy tam dużo czasu. Zabawy nie zawsze były rozsądne i bezpieczne, ale jako dzieciaki nie zastanawialiśmy się nad takimi sprawami. Poza tym wstyd przed kolegami strach pokazać, a takim sprawdzianem odwagi były wędrówki tunelem kanalizacyjnym w czasie jego budowy. Tunel miał wysokość około 70 cm, szerokość około 120 cm, kręgi były dość płytko pod ziemią zakopane i urządziliśmy nim wyprawy tylko dla odważnych. Szło się w kilku chłopaków, z latarką. Ci najodważniejsi to od naszej ulicy do Młynarskiej dochodzili. Mnie się tylko raz tam udało dojść.

Tak samo chodziliśmy kanałem Perełki, ale to było łatwe, bo tam było jasno i czysto. Perełka była wtedy śliczną rzeczką, ryby w niej były - jazgarze i byczki. Tam, gdzie teraz jest obwodnica, był nad Perełką drewniany mostek i pod nim było świetne miejsce do wędkowania. Sam tam łowiłem, jak chodziłem do babci w odwiedzin. Rybki były nieduże, ale na patelni się nadawały. Pamiętam, że te rybki ludzie smażyli, zalewali jakąś zaprawą octowo-pomidorową, to powstało z miesiąc w słoiku i była pyszna konserwa.

Wiele radości dawała nam Jeziorka. Jeziorka była wtedy czysta, a to dzięki temu, że gdy była powódź młynarz podnosił zaporę i rwąca woda szlam z rzeki wyrzucała. Gdy zlikwidowali młyn rzeka zaczęła zarastać i zmieniać koryto. Do tego stopnia tak się działo, że podczas powodzi potrafiła minąć tamę i zrobić sobie nową drogę. Za jednego życia człowieka co się z rzeki zrobiło...

W czasach mojego dzieciństwa i młodości całe wakacje się nad nią spędzało. Każda część miasta siedziała nad inną częścią rzeki. Zaczynało się od Pólka, potem był Zaręba Biały, Datki, U Fajda, Boisko, Otago, przy moście kolejowym i na końcu Zalesie. My chodziliśmy na Zarębego. Wychodziło się z domu, szło przez pole i już się nad rzeką było. Pływało się kilometr w jedną, kilometr w drugą stronę. Pamiętam, że kilka razy ferie wielkanocne były w kwietniu i już się kąpaliśmy. Ryby były, wędkarzy tłum, a każdy coś złowił.

W latach pięćdziesiątych z Warszawy na łąki nad Jeziorkę ciężarówkami przywożono budowniczych stolicy. Mieli tu odpoczywać. Były tłumy, ale poza trawą i rzeką nie mieli nic więcej zapewnionego. Żadnego zaplecza, jedzenia, picia. Po wodę do studni chodzili.

W tamtych czasach, latem, atrakcją dla dorosłych i dla dzieciaków były jeszcze tzw. dechy. Jedne były na ulicy Paprociowej i tam grali braci Czumerowie, z których jeden był skrzypkiem w zespole Mazowsze. Często występowali z nimi piaseczyńscy śpiewacy amatorzy i niektórzy bardzo ładnie śpiewali. Na przykład pan Adaszewski. Był piłkarzem, więc naprzód rozegrał mecz, potem wykąpał się w Jeziorce i szedł śpiewać, a głos miał piękny, operetkowy.

Drugie dechy organizowali na rogu Pomorskiej i Sienkiewicza strażacy. Oni chcieli zarobić na tej zabawie i sprzedawali piwo, które dla wielu było główną atrakcją imprezy.

Przez pewien czas zabawy taneczne jesienią i w karnawale organizował klub sportowy, w którym działał mój wuj, ten co sport kochał. Bawiono się w baraku, który stał obok stacji kolei szerokotorowej, a pieniądze za bilety i z tzw. konsumpcji były przeznaczane na potrzeby klubu. Gdy powstał Ośrodek Kultury moi koledzy założyli w nim zespół muzyczny i grywali na organizowanej tam czasami zabawie. Zabawy taneczne odbywały się też w Laminie, gdzie teraz swoją siedzibę ma ZUS. Były płatne, ale niedrogie.

Kawiarnie były, ale chodzili tam ci, co mieli pieniądze. Pierwsza kawiarnia po wojnie to była „Wisienka”, przy ulicy Kościuszki, na przeciwko obecnego sklepu „Piątka bis”, To był mały lokal, chyba cztery stoliki były, potem był tam bar mleczny. Kolejną kawiarnią była Maskotka i tam dużo ludzi, szczególnie młodzieży, chodziło.

A wszyscy chodzili do kina „Mewa”. Kino w Piasecznie powstało na początku lat dwudziestych, więc historię ma długą. Z tego, co słyszałem od starszych osób, przed samą wojną jego właścicielem był pan Barcz. Przez jakiś czas po wyzwoleniu jeszcze je prowadził, a potem kina upaństwowiono i kierownikiem został pan Koch. Prowadził je razem z żoną, Krystyną, która bilety sprzedawała i przyznam, że dobrze ją pamiętam. I myślę, że nie ja

jeden, bo to była bardzo atrakcyjna kobieta. Seanse grano dwa razy dziennie, a jak film był popularniejszy to i trzy. I zawsze przy pełnej widowni. Kino cieszyło się wielką popularnością, nie ze względu na atrakcyjną żonę kierownika, tylko ludzie czuli potrzebę kulturalnego spędzania czasu.

Opowiadam o tamtych czasach i trudno powiedzieć, czego człowiekowi najbardziej żal. Młodości, to na pewno. A poza tym bardzo żałuję, że nie robiłem zdjęć starych budynków. Na rogu ulic Wschodniej i Kilińskiego stał parterowy, drewniany dom z poddaszem, na którym mieszkali ludzie. Tam latem był upał a zimą mróz, bo jedynym ociepleniem było igliwie z wapnem, które z czasem kruszyło się, opadało. To był jeden z pierwszych rozebranych po wojnie domów. Wspominaliśmy ten dom wraz ze znajomymi i czasem szczegóły nam się nie zgadzały. Ot, czas zaciera w pamięci szczegóły i teraz każdy ma swój obraz dawnego Piaseczna.

Wojciech Kaczyński

ur. 1947 r. w Piasecznie



Fot. Małgorzata Kawka

Wspomina Henryk Kucharski

Droga z Julianowskiej na Świętojańską

Z sentymentem wspominam moją dawną ulicę Julianowską. Nawet to, że droga do szkoły wiodła przez całe Piaseczno, nie wydaje mi się dzisiaj problemem. I parędziesiąt lat temu też chyba nie było, przyjmowaliśmy to jako rzecz normalną.

Moi rodzice zamieszkali przy ulicy Julianowskiej w 1933 roku, kiedy kupili gospodarstwo od państwa Pyzlów. Julianowska była wtedy zwykłą drogą. Zaczynała się przy zbiegu ulic Zgoda i Młynarskiej i biegła przez pola aż do Julianowa. Stało przy niej kilka zabudowań, wokół były pola, sady. Od tamtych przedwojennych czasów niewiele się zmieniła do lat mojego dzieciństwa. Wciąż była piaszczystą drogą z koleinami wyżłobionymi przez konne wozy, którymi ludzie jeździli na swoje pola. Zabudowań było niewiele, głównie drewniane domy, kilka murowanych budynków.

Ulica Młynarska, strona wschodnia. Na miejscu sadów owocowych pobudowano w latach dziewięćdziesiątych XX w. osiedle mieszkaniowe „Lech”
Fot. Jacek Mrówczyński



Nasz dom, zwykły drewniak z sionką, stał schowany pod koroną starego kasztana, jako pierwsze zabudowanie od strony Julianowa. Naprzeciw nas była mała kuźnia Kajnera lub Keinerta. Budynek jeszcze istnieje, choć jest już przebudowany. Następny dom po naszej stronie ulicy to był murowany budynek, który odkąd pamiętam, należy do gospodarki komunalnej, obecnie mieszkają tam chyba trzy rodziny. Z opowieści rodziców wiem, że przed wojną mieściła się w nim szkoła prowadzona przez Polaka niemieckiego pochodzenia. Kolejnymi naszymi sąsiadami byli Kutwowie, ich dom i budynki gospodarcze stały głębiej od ulicy, bardziej

w polu. Tam, gdzie stoi teraz sklep Biedronka, były gospodarstwa Walendzików, Świetlików. Do dziś zachowały się jedynie murowane budynki gospodarstwa tych ostatnich.

Nieopodal, też w okolicy dzisiejszej Biedronki, mieszkali Majowie. Za ich gospodarstwem były trzy stawiki, płytkie błotne sadzawki, do których schodziły się dzieciaki z całej okolicy. Jaka to była frajda brodzić tam po kolana, łapać byczki.

Sadzawki nie były tam czymś dziwnym, bo cały teren wokół dzisiejszej Julianowskiej był podmokły. Nawet bruk był miejscami na drodze położony, żeby wozy mogły przejechać. Jeden taki zabrukowany odcinek drogi prowadził od najstarszego osiedla mieszkaniowego, do ul. Przesmyckiego, bo tam ciągle woda stała. Drugi – o długości około 300 m - był tam, gdzie nadal maleńki strumyk przepływa.

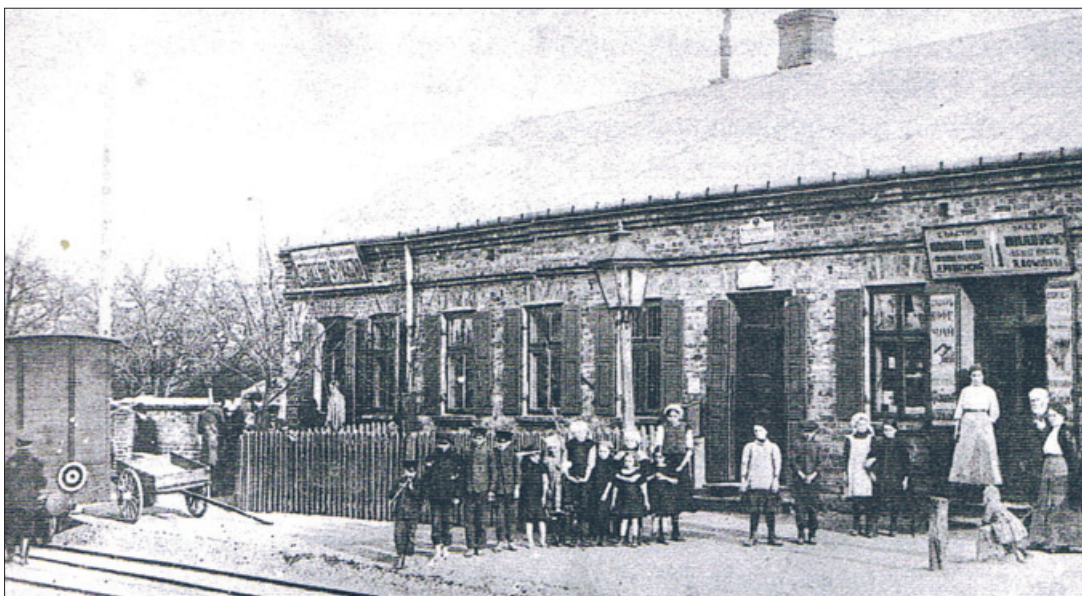
Przy tym strumyku stało jedno z kilku poniemieckich gospodarstw, bo przed wojną osadnicy niemieccy zamieszkiwali tereny Józefostawia i Julianowa, od obecnej ulicy Geodetów, w stronę lasu. Z opowiadań rodziców i sąsiadów wiem, że nie było między Niemcami a Polakami zatargów. Normalne sąsiedzkie stosunki panowały, ktoś się z kimś pokłócił, potem pogodził. Osadników przymusowo wysiedlono jeszcze pod koniec wojny i, z tego, co wiem, nikt z nich już się tutaj nie pojawił. Opuszczone gospodarstwa zasiedlili Polacy. W gospodarstwie obok strumyka mieszkał osadnik wojskowy Romejko. Cztery inne poniemieckie gospodarstwa zamieszkane przez polskie rodziny były też na odcinku od ulicy Geodetów do obecnego cmentarza komunalnego.

Od czasu, gdy poszedłem do szkoły, to chodziłem tą moją ulicą dzień w dzień od poniedziałku do soboty, bo wtedy lekcje i w soboty były. W pierwszych klasach człapałem do szkoły z siostrą, a gdy ona skończyła siódmą klasę, chodziłem sam. Czasem ktoś z sąsiadów jechał do miasta i to była wygoda przejechać się wozem konnym, ale najczęściej wyruszało się z domu około godziny 7.00 i maszerowało na Świętojańską.

Zaraz jak się wychodziło z Julianowskiej był fragment drogi prowadzący przez pola i tam stał dom, który dla nas, dzieci, był atrakcją. Bo dom i otaczający go płot były pomalowane na zielono, a mieszkańcy tamtego domku hodowali kwiaty. U nas też było dużo kwiatów w ogródku, ale większej wagi nikt do nich nie przykładał, rosły same sobie, a tam były pięknie skomponowane w rabatkach. Południowa strona ogrodzenia miała fragment z siatki i myśmy przez siatkę zaglądali, żeby na rabatki się napiatrzyć. Ale były też mniej piękne widoki. Przy ulicy Przesmyckiego, w miejscu gdzie teraz nowe domy stoją, były olbrzymie doły, w które zwożono śmieci z całego chyba Piaseczna. Często te śmieci były podpalane i śmierdzące dymy snuły się po okolicy.

Kolejnym etapem drogi było skrzyżowanie Julianowskiej z Młynarską. Z tego skrzyżowania odchodziła ścieżynka do stacji kolejki wąskotorowej Piaseczno Północ, która kursowała od Iwicznej do Wilanowa. Stacja Piaseczno Północ znajdowała się na wysokości obecnej ulicy Warszawskiej, potem kolejka zatrzymywała się w Chyliczkach, Chylicach, Skolimowie, następną stacją był Rozjazd Oborski, potem Jeziorna Klarysew, Powsin, Powsinek i stacja końcowa w Wilanowie. Kolejka czynna była gdzieś do lat 60-tych. Zlikwidowano ją ze względu na budowę Lamininy. Budowa tego zakładu bardzo zmieniła Piaseczno, a razem z nim i Julianowską. Ulica została przez Laminę podzielona, tak samo jak podzieliła ją linia kolejowa do fabryki papierów w Mirkowie, obecnie prowadząca do elektrociepłowni Siekierki.

W swojej wędrówce miałem do wyboru iść dalej dawną Julianowską albo przy obecnym skrzyżowaniu ulicy Okulickiego z Chyliczkowską skręcić w tę drugą ulicę. Chyliczkowska była wtedy szutrową drogą. Stała przy niej istniejąca do dziś posesja należąca do państwa Kisielińskich. Oni przed wojną i jeszcze długo po niej mieli tam kaflarnię. Pamiętam stojący na podwórzu kierat do wyrabiania gliny, doły do jej macerowania. Kisielińscy wyrabiali kafle do późnych lat sześćdziesiątych. Gdy pan Kisieliński zmarł, wdowa została z czwórką dzieci. Zlikwidowała kaflarnię, a część posesji wydzierżawiła Spółdzielni Pracy Inwalidów. Ta kafilarnia zawsze mnie ciekawiła, ale jeszcze bardziej byłem zainteresowany sklepikiem spożywczym państwa Rowińskich. Mijałem go zanim z Chyliczkowskiej skręciłem w ulicę Zgoda. Gdy dostałem od mamy kilka groszy kupowałem sobie tam butkę albo landrynki.



Stacja wilanowskiej kolejki wąskotorowej przy ulicy Chyliczkowskiej. Tu mieścił się sklep spożywczy państwa Rowińskich. Zdjęcie sprzed I wojny światowej Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Do ulicy Zgoda dochodziłem też idąc cały czas dawną Julianowską. Zgoda była wtedy drogą polną. Z prawej strony, tak jak i dziś, stał sierociniec prowadzony przez siostry zakonne. Teraz są to siostry Pasterzanki, wtedy mówiono siostry Małgorzatki, od imienia przełożonej. Potocznie mówiło się o nich „Małgośki”². Z latami siostry rozbudowywały placówkę, ale stary budynek, w którym był ten sierociniec i szkoła zawodowa dla dziewcząt, stoi do dziś. Niezmieniona też jest prawie cała pozostała zabudowa przy tej ulicy. Niemalże te same domy, komórki, podwórka.

2. " Małgorzatki " to dawna, popularna w Piasecznie nazwa siostr Pasterzanek. Początkowo zakon siostr służebnic Dobrego Pasterza (Pasterzanki) nosił nazwę zakonu pokutnic św. Małgorzaty z Kolony. Wszystkie szkoły prowadzone przez Pasterzanki, zarówno w przeszłości jak i obecnie, noszą nazwę tej świętej, dop. red.

Żeby dojść ze Zgody na Kościuszki miałem do wyboru dwie drogi - przez rynek albo przez obecny skwer Kisiela. Tę drugą drogę, trochę krótszą, wybierałem, gdy miałem niewiele czasu. Mijałem synagogę zamienioną na magazyn Gminnej Spółdzielni i skwer, na którym były targi.

Wolałem jednak chodzić przez wyłożony płaskim brukowcem rynek. Tam, gdzie teraz jest fontanna, była studnia, a w pierzei naprzeciw kościoła, tam gdzie teraz jest sklep spożywczy, w latach mojego dzieciństwa stał drewniak pożydowski, w nim był chyba warzywniak.

Na rogu Kościuszki i Kościelnej był sklep z materiałami budowlanymi Regulskiego. To był człowiek z duszą artysty, rzeźbił. Jedna z jego rzeźb, która od sześćdziesięciu lat stoi na rozdrożu Julianowskiej i Geodetów, jest jego dziełem tak samo jak ogrodzenie.



Rynek w Piasecznie, dzień targowy, lata sześćdziesiąte XX w. Od lewej, kamienica Gerberów, przystanek autobusowy; w głębi dom przy ulicy Zgoda, w którym mieściły się między innymi: Liceum Ogólnokształcące nr 34, dom dziecka, Szkoła Zawodowa, Szkoła Specjalna. Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Niedaleko tego sklepu mieścił się skład apteczny prowadzony przez siostry Pieścikówny. Jedna z nich miała charakterystyczny głos, niski, prawie męski i dzieci jej się z tego powodu bały. W następnym budynku była dawna restauracja Hofmana, a dalej stał drewniak należący do Tomasza Poncyliusza. Do tego budynku wchodziło się z sieni - po lewej stronie był zakład szklarski pana Wieczorka, po prawej zakład rymarski mojego stryjka Jakuba Kucharskiego. Gdy stryjek podupał na zdrowiu pracował z synem Józefem, który bodajże otworzył swoją pracownię w Głoskowie. Lubiałem zaglądać do stryjka. Podobała mi się pracownia, ale ważne też było, że stryjek dawał czasami „dziesiątaka” na bułkę.



Ul. Kościuszki, święto 1 Maja, rok 1947. Widoczna niska kamienica Poncyliusza „Kaczora”, dziś nieistniejąca. Fot. ze zbiorów Stanisława Hofmana

W tym szeregu zabudowań ostatnim był przedwojenny dom, w którym mieścił się sklep tzw. „Rolnik”. Był tam sprzęt rolniczy, nafta, smary. Nie pamiętam, kiedy ten sklep został zlikwidowany, ale był długo. Dalej to już była pusta przestrzeń z sadami na horyzoncie, ciągnąca się aż do budynków przy skrzyżowaniu Kościuszki z Nadarzyńską. Tam stały pożydowskie drewniaki zburzone w latach chyba sześćdziesiątych.

Druga strona ulicy Kościuszki była bardziej zabudowana i wyglądała prawie tak samo jak dziś. W pierwszym budynku za skwerem było pogotowie ratunkowe, potem chyba jakaś cukierenka, sklep wędliniarski i na pewno była księgarnia, w której przez wiele lat pracowała bardzo miła pani. Ten ciąg budynków kończyła narożna drewniana chałupa, za którą był już plac. Obecnie jest tam taki mały parking przy Sierakowskiego. Stały tam drewniane budki, w których były sklepiki i zakłady usługowe. Pamiętam, że był sklep z materiałami budowlanymi prowadzony przez Chruścińskiego, zakład naprawy rowerów Ziarka i drugi zakład przewijanie silników elektrycznych Zbrzeźnego. W tamtych latach silniki elektryczne były rzadkością, ale taki warsztat w Piasecznie był. Na miejscu, gdzie obecnie jest Bank Spółdzielczy, stał drewniany długi niski budynek sięgający do ulicy Żabiej. Było tam gospodarstwo Rowińskiego i zakład trumniarski. Trochę dalej, przy skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Sienkiewicza mijając mieszczący się w domu państwa Wiśniakowskich „Bar pod Kaktusem”. To jeden z kilku niewielkich piaseczyńskich lokali gastronomicznych, miał dobrą opinię, dziś jest tam sklep.



Dwukierunkowa ul. Kościuszki, lata siedemdziesiąte XX w. Po prawej - nieistniejąca dziś najstarsza w mieście księgarnia, obok sklep odzieżowy przekształcony następnie w sklep z zabawkami „Czerwony Kapturek”. W głębi samochód marki „Warszawa” zaparkowany przed stacją pogotowia ratunkowego.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Zupełnie inaczej wyglądało też miejsce, w którym obecnie stoi krzyż. Tam stała restauracja Szymańskich - duży drewniany budynek kryty strzechą. Rano na placu między tą restauracją, a następną posesją należąca do Sikorskich, stały czasami wozy konne rolników, którzy zamiast jechać z towarami do Warszawy zasiedzieli się przy śniadaniu. Kamienica Sikorskich, ładnie wtedy ogrodzona, stoi do dziś i tak jak dawniej jest ostatnim budynkiem przed cmentarzem.

Rzadko kiedy szedłem wzdłuż cmentarnego muru. Wolałem iść po drugiej stronie ulicy, bo tam była piekarnia Szymczaka i gdy miałem „dziesiątaka” od stryja kupowałem tam pyszne, świeże bułki. Dalej za piekarnią był młyn, właściwie taka kaszarnia, w której przerabiano jęczmień na kaszę, pszenicę na kaszę manną.

Następnie przechodziłem przez przejazd kolejowy ciuchci, która dojeżdżała do Góry Kalwarii. Położone blisko cmentarnego ogrodzenia tory przecinały rozwidlenie ulic Kościuszki, Świętojańskiej i Kilińskiego idąc do ulicy 17-tego Stycznia i wiodły lewą stroną tej ostatniej ulicy, która wtedy była polną drogą. Między ulicami Kościuszki a Świętojańską był przejazd kolejowy ze szlabanem, a obok stał malutki domek, w którym mieszkał dróżnik. Tu, gdzie teraz stoi budynek Centrum Zdrowia Psychicznego „Dromader”, był przedwojenny dom, w którym mieścił się magiel prowadzony przez panią Gajewską.

Jak minęło się przejazd, to do szkoły było już blisko. Szkoła przy Świętojańskiej wyglądała inaczej, chociaż główny, dwupiętrowy budynek został zachowany do dziś. Za moich czasów w tym budynku mieściły się dwie szkoły. Na piętrze była szkoła nr 2, a na parterze i w suterenie mieściła się szkoła nr 1. W klasie siedziało się w drewnianych, starych ławkach z siedziskiem.

Jeden uczeń nogami majtał w powietrzu tak był mały, a drugi ledwo się w tej ławce mieścił, bo do pierwszej klasy chodzili przerośnięci uczniowie, którym wojna nie dała się normalnie uczyć. Często byli o cztery lata starsi ode mnie.

Szkoła Podstawowa nr 1
przy ulicy Świętojańskiej,
rok 1988.

Fot. Muzeum Regionalne
w Piasecznie

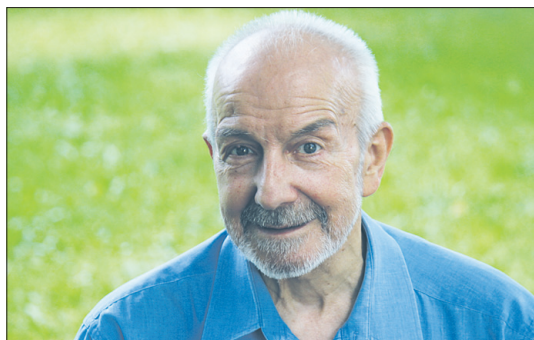


Z czasem budynek rozbudowano, w suterrenach zrobiono szatnie, ale zanim tak się stało, to każdy dzieciak ciuchy przy sobie trzymał. Nie było szatni, nie było łazienek, tylko w kącie małego boiska stały drewniane ubikacje i biegało się na dwór, czy śnieg, czy deszcz. Dla boiska charakterystyczny był też leżący w jego rogu wielki kamień. Gdy było ciepło starsi uczniowie siadali na nim, a młodszy im zazdrościli tego przywileju. Teraz ten kamień leży przed szkołą.

Często wracam myślą do tamtych czasów, niestety, jest coraz mniej osób, z którymi można je wspominać. Przez lata wszystko się pozmieniało, Piaseczno mojego dzieciństwa zniknęło. Istnieje tylko w ludzkiej pamięci.

Henryk Kucharski

ur. 1940, od urodzenia mieszkaniec Piaseczna



Fot. Małgorzata Kawka

Tajemnica porucznika Karola

O walce stoczonej w sierpniu 1944 roku na Zimnych Dołach, o spalonej leśniczówce, o mającej tam miejsce tragedii napisano już wiele artykułów, jeden z nich ukazał się kilka lat temu w jednej z naszych lokalnych gazet („Podwarszawskie życie”, listopad 2002 nr 20/31, „Zimne Doły”, Beata Kобрzyńska). W artykule opisana jest historia uratowania jednego z rannych partyzantów. Dwa dni po bitwie wywiozła go z tamtego miejsca mieszkanka Zalesia Górnego, Zofia Wiśłocka, w czasie wojny łączniczka Narodowych Sił Zbrojnych. Zgodnie z tekstem pani Zofia wiedziała tylko tyle, że ranny ma na imię Karol i jest kolejjarzem. Tyle informacji o tamtym wydarzeniu i partyzancie o imieniu Karol zawiera ów tekst.

Por. Karol o nieustalonym nazwisku wymieniany jest także w Biuletynie „Szlakami Powstańczych Oddziałów AK”, wydanym z okazji 50. rocznicy Powstania Warszawskiego, jako jeden z kilku żołnierzy, którzy zostali ranni podczas walki na Zimnych Dołach.

Dla autorów powyższych tekstów Karol, kolejarz bez nazwiska, jest postacią tajemniczą, ale zagadka ma swoje rozwiązanie. Tym człowiekiem był porucznik Karol Walter, pseudonim „Karol”.

Rodzina Walterów przybyła do Polski w okresie międzywojennym z Łotwy. Karol przed wybuchem wojny ukończył podchorążówkę i uzyskał stopień podporucznika. W czasie okupacji, a może już wcześniej, mieszkał z matką Emmą, starszym bratem Ryszardem i siostrą Martą w Gołkowie. Rodzina miała niemieckie pochodzenie i być może z tego względu Karol razem z matką przyjęli poddaństwo niemieckie, a następnie Karol wstąpił, lub został wcielony do SS i służył w stopniu porucznika.

W 1942 roku Marta, żona przebywającego w niewoli polskiego żołnierza, przeprowadziła się do Piaseczna i zamieszkała w moim domu rodzinnym przy ulicy Kauna 29. Pracowała w niemieckim urzędzie pracy (Arbeitsamt), mieszczącym się przy ul. Mickiewicza.

W tym czasie wiele razy widziałem Karola, gdy przyjeżdżał w odwiedziny do siostry. Zawsze był w mundurze, mówił tylko po niemiecku. W lipcu 1944 roku, kiedy front wschodni przybliżył się do Wisły, Karol zjawił się u siostry, ale zamiast munduru miał na sobie zniszczone cywilne ubranie. Przez kilka dni przebywał w jej mieszkaniu nie wychodząc stamtąd nawet na krok, a potem gdzieś zniknął. Marta zdradziła w tajemnicy mojemu ojcu, że Karol zdezerterował. Dodała, że jej brat zawsze „nosił płaszcz na dwóch ramionach”. To takie przedwojenne powiedzenie, określające osobę o dwóch twarzach.

Po wybuchu Powstania Warszawskiego Karol znalazł się w leśnym oddziale AK-NSZ por. „Antka”, zachowując stopień porucznika. Mimo tej rangi nie pełnił funkcji dowódczej a zajmował się szkoleniem bojowym oddziału.

Według jego relacji podczas bitwy na Zimnych Dołach przejął broń zabitego cekaemisty osłaniając wycofujący się oddział. Gdy dostał postrzał w nogi, odrzucił karabin i przeczołgał

się na pobliskie pole ziemniaków. Po bitwie Niemcy z pomocą psów szukali rannych partyzantów. Pies wywęszył Karola, ale ten kazał mu odejść wydając komendę po niemiecku. Po dwóch dniach rannego znaleźli dwaj kolejarze, których poprosił o przekazanie informacji o nim pani Wiśłockiej. Jeszcze tego samego dnia przyjechała po niego konnym wozem, przewiozła do swojego domu. Rana była ciężka, zaniedbana i wymagała natychmiastowego leczenia. Po udzieleniu pomocy lekarskiej Karol jakiś czas przebywał w domu p. Zofii, potem był ukrywany w kilku miejscach, m.in. w naszym domu, u swojej siostry Marty. Opiekowała się nim młoda dziewczyna, sanitariuszka Sylwia. Nie wiem, czy to było jej prawdziwe imię, czy konspiracyjny pseudonim.

Więcej szczegółów o historii Karola dowiedziałem się od Zygmunta Fendrycha, mieszkańca Piaseczna, w czasie wojny członka Narodowych Sił Zbrojnych. Pan Fendrych, pseudonim „Borsuk”, poznał Karola w lesie chojnowskim. Według opowieści Karola do konspiracji został na długo przez Powstaniem zwerbowany przez pana Jaroszyńskiego, właściciela restauracji mieszczącej się na rogu ulic Świętojańskiej i Kościuszki.

Po wyzwoleniu, Karol mieszkał z żoną w Zalesiu Dolnym. Historia jego żony zasługuje na osobną opowieść. Halina brała udział w Powstaniu, potem dostała się do niewoli, została wywieziona do obozu pod granicę z Holandią, skąd uciekła na wieść o tym, że Karol przeżył wojnę. Jej brawurową ucieczkę potwierdzały współwięźniarki.

Mimo zakończenia wojny czasy były trudne i niespokojne dla żołnierzy Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. Jak wiadomo, ówczesna władza prowadziła wobec nich działania represyjne – były aresztowania, wyroki śmierci, wywózki „na białe niedźwiedzie”.

Karol i Zygmunt dowiedzieli się, że są poszukiwani przez Urząd Bezpieczeństwa i, aby uniknąć aresztowania, postanowili uciec z kraju. We troje, bo Karolowi towarzyszyła żona, wyruszyli w drogę w maju 1945 roku. Po wielu trudnościach udało im się, na podstawie fałszywych dokumentów, dostać do Niemiec i przedrzeć do strefy amerykańskiej. Zgłosili się do stacjonującej polskiej dywizji gen. Maczka, ale została przyjęta tylko Halina. Była sanitariuszką i znalazła zatrudnienie w tworzącym się szpitalu polowym.

Karol pozostał z żoną w Niemczech, a Zygmunt przez zieloną granicę przedostał się do Włoch, do armii gen. Andersa, gdzie został wcielony do II korpusu. Po dwóch latach stacjonowania we Włoszech żołnierze korpusu zostali przewiezieni do Anglii i tam zdemobilizowani.

Przez ten czas Karol z żoną także znaleźli się w Anglii, a że utrzymywali z Zygmuntem kontakt listowny, doszło do spotkania. Razem postanowili wyjechać do Kanady, do Toronto. Pierwszy pojechał Zygmunt, po kilku miesiącach dołączyli do niego Karol z żoną i małą córeczką. Dwa lata później Karol zmarł. Stało się to niespodziewanie w pracy, na skutek, jak ustalono, zakrzepu powstałego w wyniku źle wyleczonej, dawnej rany.

Jakie były dalsze losy Haliny nie wiadomo. Wyprowadziła się z dzieckiem z Toronto i Zygmunt stracił z nią kontakt.

Marta, siostra Karola, wyjechała na zachód Polski z mężem, który wrócił do kraju z I Armią Wojska Polskiego. Przez kilka lat pisaliśmy do siebie, z czasem ten kontakt zerwał się.

Zygmunt Fendrych nie żyje. Zmarł w Toronto. W ostatnich latach przed śmiercią często przyjeżdżał do Polski. Spotykał się m.in. z Zofią Wiśłocką, na jej prośbę spisał powojenne losy swoje i Karola. Zofia Wiśłocka zmarła kilka lat temu.

Kim był naprawdę Karol Walter - zdrajcą, czy bohaterem? Mógł przecież przyjąć niemieckie poddaństwo i założyć mundur SS na potrzeby konspiracyjne. Takie historie są udokumentowane. Być może komuś uda się odkryć tę, jedną z wielu, wojennych tajemnic, a może już nigdy się tego nie dowie.

Wspomnienia z czasu okupacji

Do Piaseczna przeprowadziliśmy się z Warszawy w 1931 roku. Zamieszkaliśmy na ulicy Ogrodowej, której po wojnie zmieniono nazwę na Wacława Kauna, w zbudowanym przez ojca domu. Ojciec, skromny urzędnik, na budowę domu wziął kredyt, żeby go spłacać część domu wynajmował lokatorom, a my mieszkaliśmy w dwóch pokojach z kuchnią.

Nasza dzielnica należała do biedniejszej części Piaseczna. Ulica to była zwykła piaszczysta droga, po obu jej stronach rosła trawa, czasem w dni targowe przejechał tędy wóz konny. Domostwa to były drewniane rudery, często na zimę ściółką leśną ogacane, żeby trochę było cieplej. Ubodzy ludzie w nich mieszkali, wielodzietni. Dzieciaki od wczesnej wiosny do jesieni boso chodziły. Kilka osób miało pracę w tartaku, który stał na rogu ulicy Staszica i obecnej ulicy 17 stycznia, ale reszta to była bezrobotna. Ot, jakieś dorywcze prace czasem łapali. Głównym źródłem utrzymania był las. Matki z dziećmi latem chodziły do lasu na grzyby, jagody albo zbierały gałęzie i w wiązkach, na plecach, nosiły na sprzedaż. Jakieś warzywa w ogródkach uprawiano, ziemniaki. Kto mógł, to królika albo kurę hodował. Z tej biedy rodziły się liczne kradzieże, stąd przed wojną na tę część Piaseczna mówiono „Kradziejów”.

Było biednie, ale życie toczyło się spokojnie. Dorośli pracowali, dzieciaki pomagały w domu, uczyły się, był czas na zabawę. To życie skończyło się bezpowrotnie we wrześniu 1939 roku.

Już w pierwszych dniach września Piaseczno opustoszało. Zgodnie z ogłoszoną 31 sierpnia mobilizacją powszechną, wielu mężczyzn zdolnych do noszenia broni udało się do miejsc swych zgrupowań. W mieście stworzono obowiązkową ochronę przeciwlotniczą i przeciwgazową, w której działał mój ojciec. Ponieważ były obawy, że Niemcy użyją gazów bojowych, należało uszczelnić okna papierowymi taśmami, dodatkowo tymi taśmami przekleić je na krzyż. Miało to zabezpieczać przed wypadaniem szyb w czasie wybuchów pocisków, czy bomb. Pamiętam, że z ojcem uszczelnialiśmy też studnię. Trzeba też było przygotowywać maski przeciwgazowe. Była to gaza przełożona watą z przyszytymi troczkami z bandaża.

W kraju panował chaos, trwały walki, ale wiadomości podawane w radio dawały nadzieję na szybką pomoc sojuszników. Mówiono „Anglia z nami, Francja z nami, Hitlerowi manto damy”. Złudne to było hasło i złudne nadzieje, ale wielu ludzi w nie wierzyło.

9 września wpadła do nas do domu jakaś kobieta z sąsiedztwa krzycząc, że „Francuzi do Polski przyjechali”. Matka pyta „gdzie?, jak?”, a ona mówi, że od strony Góry jadą, hełmy jak durszlak mają i że biegnie ich przywitać. Poszliśmy z ojcem zobaczyć, co się naprawdę dzieje.

Przy wjeździe do Piaseczna od strony Góry Kalwarii rzeczywiście było już obce wojsko, jakieś samochody opancerzone stały. Wzdłuż ulicy zebrali się tłumnie ludzie, niektórzy mieli kwiaty,

przed restauracją Szymańskiego ustawiono stoliki z jakimiś napojami, a wszystko dla „Francuzów”. Żołnierze robili zdjęcia, rzucali w tłum bochenki chleba. „Ludzie, co robicie przecież to Niemcy” mówi mój ojciec, ale nikt nie chciał mu wierzyć. Ojciec znał język niemiecki i zapytał jednego z żołnierzy, czy jest Niemcem. Dopiero, gdy ten potwierdził „Ja, Ich bin in Deutschland”, ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

Wieczorem niemiecki sztab zainstalował się na plebanii, a w nocy rozpoczął się krwawy bój, bo do Warszawy próbowali przedrzeć się polscy żołnierze z 26 pułku artylerii lekkiej. W walce zginęło osiemdziesięciu polskich żołnierzy, w tym dwudziestu jeden zostało rozstrzelanych na dziedzińcu kościelnym. Śmierć poniosło kilku, zastrzelonych przez Niemców na ulicach Piaseczna, lub na własnych podwórkach, mieszkańców. Straty po niemieckiej stronie to dwudziestu zabitych. Zniszczeniu uległy budynki przy ulicach Warszawskiej, Młynarskiej, Puławskiej. Część budynków zostało ostrzelanych przez artylerię, część spłonęła. W sumie było chyba ponad czterdzieści domów, których mieszkańcy stracili dach nad głową. Dużo koni było zabitych. Walki się skończyły, a one długo leżały na ulicach brudnych od końskiej krwi.

Ciasno zrobiło się w Piasecznie. Część domów, wysiedlając z nich właścicieli, zajęli Niemcy, na przykład te przy ulicy Mickiewicza. Tam stały bardzo ładne wille, między innymi tzw. Jasny Dom. Przed wojną był w tym domu sierociniec dla chłopców od ośmiu do osiemnastu lat. To był otoczony drzewami biały budynek z pięknym tarasem, dzieci były zadbane, ładnie ubrane, w stalowych mundurkach. Prawdopodobnie wybudował ten sierociniec i utrzymywał go jakiś Żyd. W czasie wojny dom zajęty był przez jednostki niemieckie.

W innym, równie ładnym domu należącym do państwa Ostaszewskich, znajdowały się sztaby niemieckie, komenda miasta, komenda wojenna. Po wojnie ten dom zajęło NKWD i urząd bezpieczeństwa. Swoje odsiedział tam mój nieżyjący kuzyn, Zygmunt Fukowski i wielu innych.

Cywilne władze miasta, a były to już władze niemieckie, musiały znaleźć mieszkania dla pogorzalców i przesiedleńców. Część z tych przesiedlonych znalazła schronienie w nowej szkole na Świętojańskiej. Na piętrze odbywały się lekcje, bo dość szybko po zakończeniu działań wojennych zaczęła się w szkole nauka, a oni zajmowali parter budynku. Po miesiącu lub dwóch zostali porozmieszczani w okolicznych wsiach i w mieście, polskich uczniów przeniesiono na parter, na piętrze zaś utworzono szkołę dla dzieci Niemców i folksdojców. My wchodziliśmy do szkoły od strony boiska, a oni głównym wejściem. Często z nimi utarczki prowadziliśmy. Po jakimś czasie szkołę zajęto na koszary, a nas przeniesiono do małego budynku po sierocińcu przy ul. Zgoda, prowadzonym przed wojną przez siostry Małgorzatki. Niemcy je stamtąd wyrzucili już na początku wojny. Tłoczyliśmy się tam jakiś czas nawet na trzy zmiany, a potem ulokowali szkołę obok stacji kolejowej w dużym budynku należącym do pana Szumskiego i tak już było do czasu wyzwolenia.

Cieężko się żyło. Był głód i bieda. Chodziliśmy wszyscy do lasu zbierać szyszki i korę na opał. Dookoła Piaseczna były pola uprawne, to po żniwach zbierało się kłosa jęczmienia, żyta. Trzeba było je wyłuskać i ojciec ubijał ziarno w stępie na kaszę albo grubą mąkę.

Jeziorka była piękną, czystą rzeką. Ryb było dużo. Jako chłopak nieraz na te ryby chodziłem. Przynosiłem do domu kilkadziesiąt małych byczków albo jazgarzy i była ucztą. Kto miał możliwość hodował króliki, prosiaki, kury. My hodowaliśmy kozę „Baśkę” i do moich obowiązków należało jej wypasanie. Nie narzekałem, bo wtedy normalne było, że dzieci w domu poma-

gają. Zresztą, tak Baśkę wytresowałem, że wystarczyło krzyknąć „bierz, Baśka”, a ona bodła rogami każdego, kto mi się naraził.

Sklepiki w Piasecznie były maleńkie, królowała w nich kiszona kapusta i warzywa. W dwóch większych sklepach można było kupić na przydział małe ilości mleka, margarynę. Na te rarytasy przydział dostawały rodziny z małymi dziećmi. Świetnie zaopatrzony był jedynie sklep kolonialny tylko dla Niemców. Mieścił się ten sklep na parterze w narożnym domu przy rynku, gdzie teraz jest Przystanek Kultura.

Sytuację ratował nielegalny handel. Ludzie ze wsi szmuglowali do miast jajka, mięso, śmietanę, mleko. Często był to handel wymienny. Nawet taka piosenka była:

*U mnie dobrze jak należy,
perski dywan w chlewie leży,
a w lakierkach gnój wynoszę,
a na lato mam kalosze.*

Świnie i krowy były kolczykowane, hodowla bez zezwolenia była karana i to surowo, więc ludzie nauczyli się wyjmować te kolczyki i wkładać następnemu świniakowi czy cielakowi. Ale to było duże ryzyko. Przyjeżdżały do gospodarstw kontrole i jak się taki proceder wydał, to groziła śmierć albo można było skończyć w obozie koncentracyjnym.

Sprawdzano gospodarstwa, kontrolowano handel na targowiskach. Znaleziony towar konfiskowano, handlujących bito. Najczęściej zajmowała się tym granatowa policja.

Służyli w niej Polacy, przedwojenni funkcjonariusze policji, którzy zostali wcieleni przez Niemców pod karą śmierci, ale byli też tacy chętni, co sami się zgłaszali. W Piasecznie też tak było. Niektórzy starali się w miarę możliwości pomagać, a inni dawali się rodakom we znaki do tego stopnia, że podziemie wydawało na nich wyroki śmierci.

Sam byłem świadkiem likwidacji granatowego policjanta. To rozegrało się w jakiś letni dzień, na rogu ulic Kauna i Staszica, która wtedy była niezabudowaną ulicą, chyba ze trzy domy tylko przy niej stały. Graliśmy z chłopakami na łące w piłkę, zwykłą szmaciankę. Niedaleko było pole, na którym ziemniaki rosły i tam siedzieli jacyś młodzi mężczyźni. W pewnej chwili zobaczyliśmy, że od strony miasta idzie granatowy policjant ze swoją żoną i gdy przechodzili obok tego kartofliska, to padły strzały. Myśmy przerażeni najpierw klapnęli na ziemię, a gdy strzały uciłyśmy uciekliśmy do domów. Potem usłyszałem, że na tego policjanta wydano wyrok śmierci, za jego bezwzględność wobec mieszkańców Piaseczna, za współpracę z gestapowcami. Żona, która akceptowała jego działanie, a nawet podburzała go, ocalała tylko ze względu na to, że była w ciąży.

Dzieci w czasie wojny szybko dojrzewały, bo widziały za dużo. Kiedyś wracałem z nabożeństwa majowego, dochodziłem już do ulicy Kilińskiego, gdy usłyszałem strzały. Schowałem się w jakiejś bramie, ale ciekawość zwyciężyła strach i wyjrzałem, co się dzieje. Patrzę, a tu ulicą biegnie młody chłopak, a za nim z karabinem folksdojcz. Chłopak skoczył gdzieś między domy i udało mu się uciec.

Przeżyłem też strach o aresztowanego przez gestapo ojca. To był 1942 rok, ojciec pracował wtedy w spółdzielni mleczarskiej, której prezesem był Lefery – folksdojcz. To był porządny człowiek, wielu ludzi z gestapo uratował i gdyby nie jego pomoc, pewno byśmy ojca już nigdy nie zobaczyli.

Ojca aresztowali tuż przed Świątami Wielkanocnymi, bo ktoś doniósł, że trzyma w domu broń. Trzy tygodnie go trzymali w Warszawie, przesłuchiwali, bili dopytując się, gdzie tę broń ukrył. Ojciec był już w konspiracji, należał do Batalionów Chłopskich, a w domu rzeczywiście miał broń ukrytą, przedwojenny rewolwer schowany był w belce pod oknem. Jak gestapowcy przyszli po ojca i robili w domu rewizję to cud, że tej broni nie znaleźli.

Za to przy okazji tej rewizji znaleźli radio u naszego lokatora. Na szczęście, nie było go wtedy w domu, bo za posiadanie radia groziła nawet śmierć, trzeba było wszystkie odbiorniki oddać Niemcom. Nasz lokator pracował w fabryce wyrobów skóranych w Radomiu i akurat był w pracy. Przed fabryką podbiegł do niego jakiś chłopak i mówi, żeby uciekał, bo gestapo na niego czeka. Jak to się stało, że został ostrzeżony, przez kogo – tego nie wiedział, ale ukrywał się do końca wojny.

Lefery, gdy dowiedział się o aresztowaniu ojca, najpierw pytał matkę, czy coś nielegalnego Niemcy w domu znaleźli. Gdy dowiedział się, że nie, obiecał spróbować wyciągnąć go z tego aresztu. Co zrobił, tego nie wiemy, ale ojciec wrócił.

Chyba nie było wtedy człowieka, który by się nie bał. O swoich bliskich, o siebie. Był strach przed aresztowaniem, przed łapanką, wywózką na roboty. Codzienne trudności, bieda, niepewność. Ale nawet wtedy ludzie kochali się, przyjaźnili, tańczyli, śpiewali. Ludzie się bali, ale jednocześnie była wielka odwaga i determinacja. Żyli nadzieją, że Polska będzie wolna. Walczyli o nią. Wielu bardzo młodych ludzi angażowało się w tę walkę.



Nauczyciele i uczniowie Szkoły Powszechnej przy ulicy Świętojańskiej we wczesnych latach trzydziestych XX w. U stóp księdza Wincentego Balula siedzi Wojtek Hass (zginął pod Pęciami 2 sierpnia 1944 roku w czasie Powstania Warszawskiego). W rzędzie za pedagogami, trzecia od prawej, Marysia Szymańska, późniejsza znakomita piaseczyńska pediatra - doktor Mrówczyńska (ranna pod Pęciami). W tle drewniany budynek szkoły.

Fot. ze zbiorów Jacka Mrówczyńskiego

Przed wojną w szkole przy Świętojańskiej działała drużyna harcerska. W czasie okupacji wielu z tych harcerzy przeszło do tajnej organizacji harcerskiej, a z biegiem czasu wstąpili do szturmowego batalionu „Zośka”. Janusz Urbański, Jurek Rowiński, Stachur Gajdarski – trzech przyjaciele nazywani Równymi, bo wszyscy po 180 cm wzrostu mieli, Reszczyk, Michał Wojewódzki, Cyzio Orłowski, Hania Wieczorkiewicz, Kazik Dąbrowski, który zginął pod Pęciami, Mietek, jego brat, który zginął w Powstaniu, Wojtek Hass, też zginął w Powstaniu i wielu innych moich starszych kolegów. Dziaili

czas między konspiracją, pracę, naukę. Pracowali, żeby pomóc rodzinie i uniknąć wywózki na przymusowe roboty do Niemiec. Moja siostra, która miała siedemnaście lat, gdy wstąpiła do organizacji, posiadała zaświadczenie, że jest zatrudniona w gospodarstwie rolnym u kuzynów w Julianowie. Rzeczywiście tam pomagała, jak to w rodzinie, ale zaświadczenie było przydatne.

Wielu młodych ludzi, którym wojna przerwała naukę chodziło na tzw. komplety, tajne nauczanie. Słyszałem, że w Piasecznie też takie były, ale nic o nich nie wiem.

W konspiracji działało wtedy dużo młodych ludzi. Siostra działała w małej, pięcioosobowej grupie, to były dziewczęta wywodzące się z Sodalicii Mariańskiej, ich dowódcą była Marysia Szymańska, późniejsza lekarka. Zbiórki miały w Zalesiu i matka nieraz się denerwowała, gdy do domu stamtąd późno wracała, bo była przecież godzina policyjna. Bliżej Powstania dziewczyny uszyły sobie torby sanitarne i mundury – bluza, spódniczka. Siostra miała ten mundur z szarego byle jakiego koca. Torbę sanitarną z wyposażeniem trzymała najpierw w beczce z popiołem, a potem w jednym z czterech pustych uli, które w mieszkaniu stały. Szczegółów się nie znało i nikt nie dopytywał, żeby w razie czego wiedzieć jak najmniej, ale czasem człowiek dowiadywał się czegoś mimo woli.

Obok naszego domu stał dom państwa Wieczorkiewiczów i w nim, na piętrze wynajmował małe pomieszczenie Stachur Gajdarski. On miał na imię Stanisław, ale wszyscy mówili na niego Stachur. I tam spotykali się młodzi ludzie, grali na gitarach, śpiewali i słuchali potajemnie radia. Za posiadanie radia, jak już mówiłem, groziła surowa kara. Ale ludzie chcieli wiedzieć, co się w świecie dzieje, jaka jest prawda o niemieckich zwycięstwach. Stanisław Zientara zrobił z walizki adapter i wzmacniacz do tego, ale wystarczyło coś przełączyć i robiło się radio. Gdy nie było prądu, to nie było jak odbierać. Chłopcy brali wtedy druty, jak wędkę zarzucali na linie energetyczne i prąd był. Słuchano radia, ale i muzykę z adaptera puszczano, były tańce. Budziło to pojęcie niektórych ludzi, bo tu okupacja, a tu sobie zabawę robią. Ale to byli bardzo młodzi ludzie, więc się bawili, a drugiej strony zabawa była przykrywką do konspiracyjnych spotkań.

Przychodził Janusz Urbański, Rowiński, Wojtek Hass, Heniek Urbański na którego mówili Pikuś, Zbyszek Tomczyk, który zginął pierwszego dnia Powstania, bracia Sielicy, jeden z nich zginął w Powstaniu i wielu innych. To byli starsi ode mnie chłopcy, ale mówiłem do nich po imieniu, graliśmy w piłkę, traktowali mnie trochę jak młodszego brata. Byli młodzi, ale tak szybko dojrżeli, dorośli.

Kiedyś poszedłem do Stachura, wchodzę do niego do pokoju a tam siedzi kilku chłopaków i rozbierają pistolet. Zobaczyli, że ja to widzę i Heniek Urbański mówi „Kazik, nic nie widziałeś”. Ja tylko głową kiwnąłem, bo sam wiedziałem, że tak trzeba. Później, gdy się spotykali wieczorem, to często wystawiali mnie na wartę. Miałem dać znać, jakby od strony Staszica jechał jakiś samochód, bo to znaczyło, że gestapo albo policja jedzie.

W konspiracji działał też mój ojciec, był w Batalionach Chłopskich. Miał nielegalne gazetki, czasem ktoś do niego przyjeżdżał, były jakieś spotkania. Wiem, że kiedyś rzuty odbierali w lesie.

Dzieciaki w moim wieku też chciały walczyć. Wiosną 1944 roku z Warszawy przyjechał do nas mój kuzyn straszny ode mnie o dwa lata. Postanowił zorganizować u nas zastęp Szarych Szeregów. Dostaliśmy wydaną po niemiecku książkę o samolotach wojskowych, rosyjskich, francuskich, angielskich. Były tam zdjęcia tych samolotów wraz z dokładnymi opisami, a my

mieliśmy się tego nauczyć. Do dziś pamiętam prawie wszystkie osiągi samolotów. Trwało to tylko kilka miesięcy. Potem wybuchło Powstanie, kuzyn zginął.

Nadeszło wyzwolenie Piaseczna. Dzień wcześniej, przed południem, Niemcy zaczęli wysadzać w Piasecznie różne obiekty - stację kolejki, warsztaty, część mostu nad Jeziorką w Zalesiu. Nie zdążyli wysadzić mleczarni, ocalał też drewniany most w Żabieńcu, bo tamtędy od strony Góry Kalwarii wciąż wycofywały się niemieckie wojska. Jechały tabory samochodów, szli żołnierze, bardzo zdyscyplinowani, zwartym szeregiem. Wieczorem wszystko przycichło, a następnego dnia wczesnym rankiem usłyszeliśmy polską pieśń. Przez chwilę myśleliśmy, że to maszeruje oddział Wehrmachtu utworzony z Polaków, bo stacjonował taki w pałacu w Chyliczkach. Nieraz słysząc było jak polskie piosenki śpiewają. Wielu z tych Polaków było siłą wcielanych do wojska, ale byli też i tacy, co wstępowali z własnej woli. Z Piaseczna też było takich kilku. Pobiegliśmy z ojcem sprawdzić, kto śpiewa. Patrzymy, a tam od strony Góry wojsko polskie idzie, w polskich mundurach i to oni śpiewają.

W naszym domu zainstalowała się radiostacja. Obsługiwała ją kilkadziesiąt Polek pod dowództwem Rosjanki. To przede wszystkim były kobiety wywiezione w głąb Rosji ze wschodnich części Polski, z Kresów. Wiele nie mogły o sobie opowiadać, pewno ze strachu, ale co nieco mówiły. Że wstąpienie do armii to był jedyny sposób, aby wrócić do kraju. Po dwóch czy trzech dniach odjeżdżały zostawiając po sobie w domu bałagan, wszy w słomie, na której spały, a zabierając różne domowe drobiazgi.

Po wojnie wiele się w Piasecznie zmieniło, ulica Kauna też. Skończyło się bezrobocie, tzw. kwaterunek przyznawał ludziom lepsze mieszkania, z czasem pobudowano nowe domy. Do dziś zostały dwa - trzy przedwojenne budynki, takie relikty przeszłości. Mój dom rodzinny też jeszcze stoi. Mieszkają tam teraz cztery pokolenia, mój brat, jego syn i trzy córki tego syna i ich dzieci. Ale droga szybko się nie zmieniła, jeszcze wiele lat po wojnie podczas wiosennych roztopów brnęło się po kostki w błocie. Dopiero w latach siedemdziesiątych położono środkiem drogi jaki-taki asfalt, a kilka lat temu założono wodę, gaz i zrobiono piękną ulicę.

Człowiek przywołuje wspomnienia, ale najczęściej wracają fragmenty, obrazy dawnego Piaseczna. Dobrze jest porozmawiać z kimś, kto też zna dawne czasy. Wówczas co i rusz słysząc „a pamiętasz to, a pamiętasz tamto”. Niewiele już jest osób, które pamiętają przedwojenne czasy, z którymi mógłbym o tym minionym czasie porozmawiać. Kiedyś co druga osoba była znajoma. Teraz prawie nikogo już nie ma i pusto się robi wokół.

Piasczyńskie harcerstwo

Z harcerstwem spotkałem się w czasie okupacji dzięki mojemu kuzynowi, który był członkiem Szarych Szeregów. Nie wiem, czy z własnej inicjatyw, czy na czyjeś polecenie, rozpoczął w Piasecznie tworzenie drużyny harcerskiej. Wspaniała przygoda szybko się skończyła. Przyszło Powstanie, kuzyn zginął, ale fascynacja harcerstwem została.

Gdy wojna się skończyła, harcerstwo w sposób naturalny zaczęło się odradzać, wychodzić z podziemia, w którym działało w czasie okupacji. Nie inaczej było w Piasecznie, gdzie tradycje

harcerskie sięgały okresu przedwojennego, bo już wtedy przy Szkole Powszechnej istniała dobrze zorganizowana drużyna harcerska.

W czasie okupacji część harcerzy z tej drużyny wstąpiła do Szarych Szeregów. Starsi z nich przeszli po odpowiednich szkoleniach do plutonu harcerskiego Batalionu Szturmowego „Zośka”, wojskowo podlegającemu Armii Krajowej. Spośród tych chłopców znałem Stachura (Stanisława) Gajdarskiego, Janusza Urbańskiego, Jurka Rowińskiego, Wojtkę Hassa, Cyzia Orłowskiego, braci: Mietka i Kazika Dąbrowskich.

W dniu wybuchu Powstania ich pluton stawiał się zgodnie z rozkazem na warszawskiej Ochocie w punkcie koncentracji plutonu, wchodząc w skład Zgrupowania Oddziałów AK Obwód Ochota, pod dowództwem ppłk. Mieczysława Sokołowskiego ps. „Grzymała”. Już pierwszego dnia okazało się, że dysproporcje między siłami powstańców a Niemców są ogromne. „Grzymała” część podlegających mu oddziałów wyprowadził 2 sierpnia do lasów chojnowskich. W czasie przebijania się z okrażenia powstańcy stoczyli bój pod Pęcicami. Tam poległ: Wojtek Hass, Janusz Rowiński, Kazik Dąbrowski i wielu nieznanych mi chłopców z Piaseczna. Spośród moich kolegów zginął też Mietek Dąbrowski, stało się to pod koniec września w czasie walk na ul. Podchorążych.

Ci, którzy przeżyli okupację, Powstanie i niewolę starali się po wyzwoleniu wrócić do normalnego życia. Mimo prześladowań i represji ze strony ówczesnych władz w Polsce uczyli się, pracowali, zakładali rodziny. Wielu z nich podejmowało się odnowy życia harcerskiego.

W 1945 roku ówczesna dyrektorka „Platerówki” zaproponowała Zygmuntowi Fukowskiemu, który przed wojną był harcerzem, zorganizowanie w jej szkole drużyny harcerskiej. Zygmunt wywiązał się z zadania doskonale. Stworzył silną drużynę, którą rok później przekazał swemu koledze, a sam podjął się organizacji następnej drużyny w szkole podstawowej przy ulicy Świętojańskiej. Jako kadra wspomagało go kilku wybranych harcerzy z „Platerówki”. Ich działanie oparte było na zasadach przedwojennego skautingu, z uwzględnieniem patriotycznego programu Szarych Szeregów.

I tak, w 1946 roku, powstała 118. Warszawska Drużyna Harcerzy im. gen. Władysława Sikorskiego, starszo- i młodszoharcerska, do której należało też kilku, pochodzących z Piaseczna uczniów szkół warszawskich, wśród nich i ja. Chodziłem wtedy do gimnazjum mechanicznego w Warszawie. Drużyna wchodziła w skład Hufca ZHP Nadwiśle wraz z drużynami z Wilanowa, Skolimowa, Powsina, Jeziornej, Konstancina i Zalesia Dolnego.

W 1947 roku nasz hufiec miał pierwszy samodzielny obóz harcerski w Górach Świętokrzyskich. Mieszkaliśmy w starych namiotach z demobilu amerykańskiego. Były dziurawe, często przestrzelone i podczas deszczu kapło nam na głowy. Pamiętam, że smarowaliśmy materiał różnymi mazidłami, żeby dziury zakleić. Spało się na siennikach, każdy harcerz przywoził swój siennik, słomę kupowało się od gospodarza z pobliskiej wsi i napychało się nią sienniki. Sami stawialiśmy namioty, sami budowaliśmy prycze z wyciętych w lesie żerde. Z jednej strony stały prycze, z drugiej samodzielnie zrobione półki na ubrania, menażki, bo w namiocie musiał być porządek, wszystko miało swoje miejsce. Własnoręcznie budowaliśmy kuchnię, stoliki, a także kapliczkę. Bo to był jeszcze taki czas, gdy rano, po apelu, była krótka modlitwa, a dzień kończyliśmy odśpiewaną przy ognisku pieśnią „Panie Boże, Ojczy nasz” albo „Idzie noc”, po których w absolutnej ciszy rozchodziliśmy się do namiotów.

W czasie trwania obozu każdy z zastępów kolejno pełnił służbę, czyli w nocy trzymał wartę, a w ciągu dnia zajmował się przygotowaniem posiłków. Starsi harcerze pomagali okolicznej ludności przy pracach polowych, drużyna dziewcząt organizowała w „zielonych przedszkolach” opiekę nad dziećmi. A wieczorami były ogniska, śpiewało się piosenki, była gawęda. Raz w tygodniu zapraszaliśmy na takie ognisko mieszkańców okolicznych wsi, wtedy dodatkowo były przygotowywane jakieś skecze. Za to wszystko zdobywało się sprawności harcerskie.

Minęło kilka lat zwykłej harcerskiej pracy, nadszedł rok 1950 i ówczesne władze polityczne rozwiązały Związek Harcerstwa Polskiego jako organizację szkodliwą ideologicznie, wprowadzając Organizację Harcerską Polski Ludowej podległą komunistycznemu Związkowi Młodzieży Polskiej. Pełniłem wtedy funkcję komendanta hufca. Z żalem i bólem serca, ale odszedłem wówczas z harcerstwa. Po sześciu latach zmieniły się warunki polityczne i powstała możliwość odrodzenia ZHP wraz z jego tradycjami, symboliką, systemem wychowawczym i strukturą organizacyjną. Miałem już wtedy rodzinę, pracę, ale ciągnie wilka do lasu i gdy kolega zapytał, czy nie wróciłbym do harcerstwa zgodziłem się właściwie bez zastanowienia.

W 1957 roku została powołana nowa komenda Hufca Piaseczno. Sytuacja nie była łatwa, bo w Piasecznie i w Skolimowie istniały już drużyny harcerskie działające poza strukturą hufca. Dla władz solą w oku były przede wszystkim dwie drużyny starszoharcerskie prowadzone przez księdza podharczmistrza Tadeusza Uszyńskiego (zm. w 2001 r., dop. red.). Jakoś jednak przy dobrej woli i chęci porozumienia udało się w sposób pokojowy zjednoczyć wszystkie drużyny pod skrzydłami hufca Piaseczno. Udało się też pozyskać małe i mocno zdezastrowane pomieszczenie na strychu budynku przy ul. Staszica 6 oraz własnymi siłami odremontować je na harcówkę. Można było przystąpić do pracy, której było wiele.

To, że Hufiec działał prężnie, że rozwijał się, było zasługą oddanych harcerstwu ludzi. Młodzież garnęła się do nas w każdej z piaseczyńskich szkół. Chyba wszyscy starsi mieszkańcy Piaseczna pamiętają obowiązkowe pochody z okazji 1 Maja. Przed trybuną, na której stali przedstawiciele władz, maszerowało siedemset a nawet osiemset harcerek i harcerzy. W mundurach, równym krokiem defiladowym, z proporczykami, piękni, dumni, uśmiechnięci. Serce rośnie, gdy się na nich patrzyło.

I toczyło się to harcerskie życie. Były zbiórki, szkolenia, różne akcje społeczne na rzecz środowiska. Największy nacisk kładliśmy jednak na obozy harcerskie, bo one jednoczą, hartują, uczą samodzielności, odpowiedzialności, współpracy, szacunku dla ludzi i środowiska.

Wyjeżdżały całe drużyny, ale był pewien warunek łączący się z wychowywaniem młodzieży na odpowiedzialnych ludzi. Aby wyjechać na obóz drużyna musiała choćby w części na ten wyjazd zapracować. Była drużyna, w której zbierali butelki. Było też w innej drużynie tak, że mogli zarobić segregując odpady z tokarek - mosiądz, miedź i żelazo. Najpierw zaczęli przebierać ręcznie, jak Kopciuszek, ale harcerz nie w ciemie bity, umie sobie poradzić. Jeden z tych harcerzy był w technikum elektronicznym i on wykorzystał elektromagnes, który wkładali pod gazetę i na nią wysypywali opiłki.

Były też organizowane obozy szkoleniowe dla drużynowych, bo od ich umiejętności i wiedzy zależał rozwój powierzonej im drużyny. Pierwszy taki obóz był w 1960 roku nad jeziorem Serwy. Powstała wtedy tradycja naszywania na banderze drużyny drużynowych, dębowych listków z nazwą miejscowości i datą.

Były też problemy, donosy. Nieraz chodziłem na egzekutywy partyjne, żeby odpierać bezzasadne zarzuty. Kiedyś dwie drużyny przechodziły obok krzyża, który przy ulicy Zgoda stoi, dowódca podał komendę „baczność, na prawo patrz” i już był donos, że harcerze przed krzyżem salutują. Konsekwencjami mogło być usunięcie ze szkoły, nie dopuszczenie do matury. Musiałem długo tłumaczyć, że to po prostu ćwiczenia były.

W 1969 roku powołano mnie do Komendy Chorągwi Mazowieckiej jako odpowiedzialnego za akcje letnie, zimowe, sport i turystykę. Z harcerstwem pożegnałem się ostatecznie w 1973 roku, gdy władze polityczne powołały Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, która skupiła wszystkie organizacje młodzieżowe. Ponieważ uważałem, że było to szkodliwe i zmierzało do rozbicia harcerstwa, postanowiłem wycofać się z czynnej służby.

Nie straciłem całkowicie kontaktu z harcerstwem. Zostały też liczne przyjaźnie, bo więź jaka wytwarza się w czasie harcerskiej pracy, jest niezwykle silna, trwa latami, jeśli nie całe życie. A gdy czasami mnie zapraszają na spotkania w hufcu to wbiję się w mundur i z radością tam idę. Bo harcerzem nigdy się nie przestaje być i jest się nim wszędzie.



Uczestnik obozu I Drużyny Harcerskiej im „Zośki” z Zalesia Dolnego, Hufiec Piaseczno, obóz nad jeziorem Serwy, lipiec 1960 rok.

Fot. archiwum Kazimierza Lenarczyka

Spacer sentymentalny

Niewiele już zostało z Piaseczna takiego, jakim miasto było w czasach mojego dzieciństwa, młodości. Czasem robię sobie dłuższy spacer i wspominam, jak ulice wyglądały dawniej. Chciałbym podzielić się swoimi wspomnieniami, ocalić od zapomnienia tamten czas, miejsca i ludzi.

Ulica Kościuszki

Budynek stojący na rogu rynku i ulicy Kościuszki, ten w którym teraz jest Przystanek Kultura, nie tylko został kilka lat temu odbudowany od fundamentów, ale zachowano jego pierwotną bryłę. Nie miał tyle szczęścia duży dom z czerwonej cegły pod numerem 8, w którym

mieściła się przedwojenna Kasa Chorych. A to właśnie tam, w sierpniu 1944, powstał punkt sanitarny dla powstańców i ludności cywilnej. Dziś w tym miejscu pobudowano piętrowy budynek z mieszkaniami, sklepami.

Tuż obok niego wybudowano gmach sądu i prokuratury. Pewno nie wszyscy młodzi ludzie wiedzą, że w tym miejscu, przed wojną i jeszcze długo po niej, były rozległe podmokłe łąki, przez które płynęła Perełka. Rzeczka nie była wtedy schowana w tym miejscu pod ziemią, przecinała ulicę, a nad nią był drewniany mostek. Przez obecny skwer Kisiela przepływała już przykryta kręgami a na skwerku był plac targowy. Zupełnie inaczej wyglądało to miejsce niż dziś. Zmienił się też budynek stojący na rogu Kościuszki i skweru, bo wcześniej miał dach spadowy. Przed wojną i w czasie wojny był w tym domu posterunek policji, a po okupacji miała tam swoją siedzibę milicja obywatelska oraz, przez jakiś czas, również Urząd Bezpieczeństwa. Dość szybko UB przeniesiono na ulicę Czajewicza, a milicja przez jakiś czas miała swoją siedzibę na Nadarzyńskiej. W opustoszałym w ten sposób budynku przy Kościuszki przez wiele lat najpierw mieściła się przychodnia, potem pogotowie ratunkowe.



Ul. Kościuszki w stronę rynku, rok 1953. Na pierwszym planie skrzyżowanie z ulic Kościuszki i Nadarzyńskiej. Po prawej - narożny budynek, w którym przed wojną mieściła się herbaciarnia Sruła Flinta, po wojnie sklep „Malinka”. Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Narożny blok przy Kościuszki i Nadarzyńskiej powstał w latach pięćdziesiątych. Po wojnie w tym miejscu był skład wapna, a w głębi, za tym składem była mała restauracyjka.

Przy ulicy Kościuszki, na odcinku między Nadarzyńską i Żabią, przeważała zabudowa drewniana. Wokół placu, na którym teraz jest taki mały parking, stały drewniane domy, takie same drewniaki stały w miejscu, gdzie dziś jest siedziba banku. A przy placu, w stronę ulicy Kilińskiego, był duży skład materiałów budowlanych. Właścicielem tego składu przed wojną był Żyd, Koper się nazywał, a po wojnie skład przejął Chruściński.

Stare, drewniane domy zniknęły prawie całkowicie z krajobrazu miasta, ale zachowały się przedwojenne kamienice. Przy Kościuszki zachowała się między innymi ta należąca do państwa Fendrychów. Po wojnie mieścił się w niej komitet powiatowy partii. Teraz budynek jest odnowiony, ale jego pierwotny wygląd prawie się nie zmienił. Stoją też domy Bieńkowskich, Regnerów, którzy przed wojną i w czasie okupacji mieli małą cukierenkę, Poncyliuszów, Rowińskich. To wszystko były zamożne i na ogół liczne rodziny. Rowińskich w Piasecznie było tylu, że prawie każdy miał swój przydomek, aby było wiadomo, o kogo chodzi. Był Franuś, Trupek, Biały Łeb, była rodzina Kozów. Do Kazika Rowińskiego, na którego mówiono Sokół, należała kamienica stojąca tuż przy rozjeździe ulic Kościuszki i Sienkiewicza. Po elewacji tego domu, po balkonach widać upływ czasu, ale poza tym dom niewiele się zmienił, za to skrzyżowanie jest już zupełnie innym miejscem.

Tu, gdzie stoi „Biedronka”, była znana restauracja państwa Szymańskich, bardzo ładny, stary duży, drewniany budynek. To przed tą oberżą witano kwiatami wjeżdżających do Piaseczna „Francuzów”, którzy okazali się Niemcami. W latach sześćdziesiątych dom został wyburzony, a na jego miejscu wybudowano budynek, który stoi do dziś.



Skrzyżowanie ulic Kościuszki i Sienkiewicza. Karczma rodziny Szymańskich, w czasie II wojny światowej lokal konspiracyjny i punkt obserwacyjny AK, po wojnie nadal karczma, a następnie punkt szklarsza
Fot. Jacek Mrówczyński

W miejscu, gdzie stoi drogowy znak, była przed wojną mała stacja benzynowa, to był jeden dystrybutor w kształcie niewysokiej kolumny z dwoma węzłami do tankowania. We wrześniu 1939 roku, gdy w Piasecznie toczyły się walki, stacja spłonęła, spłonął też stojący obok drewniany krzyż. Pamiętam, jak obok tego pogorzeliska stał spalony niemiecki samochód.

Dalej, trochę w głębi Kościuszki, a bliżej ulicy Wschodniej, stał budynek dawnej piekarni Szymczaka. Plac przy zbiegu obu ulic jest dziś niezabudowany, a dawniej stał na nim stary drewniany budynek, parterowy, zbudowany z grubych belek.

Ciąg domów naprzeciwko cmentarza to stare murowane budynki, część jest odrestaurowanych, niektóre trochę zmienione. Budynek, w którym mieści się poczta wyglądał inaczej. Okna były węższe, nie było dobudówek na piętrze i nie był otynkowany, widać było, że jest zbudowany z czerwonej cegły. Stojący za ciągiem starych budynków Dom Kultury wrósł już w otoczenie. Choć pobudowano go w czasach współczesnych też ma już swoją historię. Podczas jego budowy wydarzyła się tragedia. Mury runęły i zginęło dwóch robotników.

Ulica Kościuszki, lata siedemdziesiąte XX wieku, po prawej w ciągu zabudowań budynek Poczty Polskiej (przed przebudową), po lewej budynek, w którym swój zakład miał krawiec - pan Dworakowski
Fot. Jacek Mrówczyński



Kolejny budynek przy Kościuszki jest dla mnie szczególnie ważny. To w nim mieścił się szpital, tu jako sanitariuszka pracowała moja siostra. Teraz przed domem jest chodnik, dawniej był nieduży ogródek, wejście do środka było z dwóch stron: od frontu i od tyłu budynku, a na bocznej ścianie, tej od strony południowej, pod balkonem była spora weranda. Z mojego rodzinnego domu przy ulicy Kauna można było tutaj dojść ścieżką prowadzącą ogrodami. Dziś, w miejscu dawnych ogrodów stoją domy, posesje są ogrodzone i żeby dojść do Kauna trzeba minąć rondo Solidarności i iść dalej ulicą Staszica.

Rondo Solidarności

Rondo Solidarności w niczym nie przypomina miejsca sprzed wojny. Dawniej to była trasa ciuchci. Obok cmentarza stał domek, w którym mieszkała rodzina dróżnika Pietrzaka. Gdy nadjeżdżał pociąg dróżnik zamykał szlabany: jeden od ulicy Świętojańskiej, drugi od Kościuszki i trzeci na drodze od strony Góry Kalwarii, a my, jako dzieciaki, pomagaliśmy mu. Pomoc polegała na tym, że woziliśmy się na tych metalowych szlabanach. Nieraz więcej było przeszkadzania niż pomocy i wtedy można było kijem po plecach oberwać od dróżnika albo jego żony.



Wyjazd z Piaseczna w stronę Góry Kalwarii ulicą 17 Stycznia (dawniej ulica Kolejowa), rok 1984. Z prawej - fragment budynku, w którym mieścił się zakład fryzjerski pana Jana Bogdańskiego, dalej skrzyżowanie z ulicą Rejtana. Po lewej skrzyżowanie z ulicą Staszica.
Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Obecna ulica Gerbera to była prowadząca wzdłuż torów wąska, wysypana żużlem dróżka mówiło się na nią Węgiełki. Narożny dom stojący przy rondzie od strony Góry Kalwarii należał do pana Jaroszyńskiego wielkiego działacza społecznego, w czasie wojny prezesa klubu piłkarskiego. Na parterze była należąca do właściciela restauracja, wejście do niej było w tym samym miejscu, w którym i dziś wchodzi się budynku od strony ronda. Z lewej strony, też na parterze, swój zakład miał fryzjer Bogdański, a na piętrze były dwa lub trzy pokoje, w których pan Jaroszyński w czasie wojny przechowywał chłopaków z lasu.

Ulica Staszica

Przedwojenna ulica Staszica była nieutwardzoną, prawie niezabudowaną drogą. Przy wjeździe do niej, po prawej stronie, był tartak pana Wągrodzkiego. Bale drewna przywożono do tartaku pociągami albo wozami konnymi. Naprzeciwko tartaku stał drewniany dom właścicieli, a na placu przed domem były wiaty, pod którymi składowano gotowe wyroby. Syn Wągrodzkich zginął w Powstaniu.

Za tą posesją, aż do ulicy Kauna, ciągnęły się ogrody. Na rogu ulic Staszica i Kauna, po lewej stronie, stał istniejący do dziś nieduży dom pana Zająca, w którym właściciel prowadził sklep.

Za tartakiem był dom Niemca Gerharda, a następnie dom pana Koneckiego. Między tymi budynkami była ścieżka dochodząca aż do torów i chyba czterometrowy pas pola, na którym rosły ziemniaki. A wszystko mniej więcej w tym miejscu, gdzie do Staszica dochodziła ulica Kauna tworząc taki szerszy placyk, ubity i zarośnięty trawą, świetnie nadający się do gry w piłkę nożną. Właśnie tutaj graliśmy z chłopakami w nogę, kiedy dokonano zamachu na granatowego policjanta. Stało się to tuż obok nas, prawie przed domem pana Koneckiego. Pamiętam strzały, swój strach i to, jak do domu uciekałem. Takie to były czasy.

Następny budynek to był dom pana Gintera, Niemca. Po wojnie w tym domu była siedziba PPS, potem Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, a nawet przez jakiś czas piaseczyńskiego klubu sportowego.

Po lewej stronie ulicy stała w dużym ogrodzie willa pana Ringa, dalej był dom pana Rowińskiego. Przy zbiegu Staszica i Emilii Plater po lewej stronie była willa pana Siedleckiego, po prawej, stojący trochę w głębi ulicy duży dwupiętrowy dom pana Barcika, za jego posesją aż do Jeziorki ciągnęły się pola. Bliżej rzeki stał jeszcze jakiś mały domek, długo przed wojną było przez jakiś czas boisko piłkarskie Sokota.

A nad rzeką był latem raj. To było piękne miejsce, plaża, czysta rzeka, przy moście żabińskim była nawet w czasie wojny wypożyczalnia kajaków, a druga wypożyczalnia była na Półku. Tam wszyscy z okolicy chodzili się kąpać, odpocząć nad wodą.

Ulica Kauna

Przy zbiegu Staszica i Kauna, wtedy jeszcze Ogrodowej, po prawej stronie stała drewniana willa pana Ringa, obok niej rósł ogród ciągnący się aż do mojego rodzinnego domu. Teraz trzy domy postawiono w miejscu tego ogrodu.

Naprzeciwko tych ogrodów stał stary, drewniany dom. Sporo ludzi w nim mieszkało, jakoś po wojnie dom opustoszał i po wielu latach ktoś ruinę rozebrał. Została tylko studnia. Takie studnie były przy każdym domu, ale to u nas była tak dobra woda, że sąsiedzi po nią przychodzili.

Mój dom rodzinny, stojący dawniej pod numerem 29 (obecnie 35), to jednopiętrowy, niewielki budynek. Dom od zewnątrz prawie się nie zmienił od chwili swego powstania, jedynie trochę szersze okna wstawiono podczas remontu. Pokoje na piętrze były wynajmowane, na parterze po lewej stronie mieszkał pan Marszałek, ten u którego Niemcy radio w czasie rewizji znaleźli. My zajmowaliśmy pozostałe pomieszczenia. W niewielkim ogródku po wojnie mój ojciec postawił małą kapliczkę.

Po drugiej stronie ulicy było pole, które ktoś dzierżawił, zwykle rosły tam kartofle. Ścieżką wzdłuż tego pola szło się na skróty do ulicy Kilińskiego a potem do miasta.

Obok nas, po tej samej stronie ulicy, w porządnym, murowanym domu mieszkała pani Karwacka, akuszerka. Następna posesja należała do pani Malinowskiej, jej syn był marynarzem, oficerem marynarki handlowej. Mieszkali w starym, drewnianym domu otoczonym gęstym żywopłotem i mieli wielkiego psa, który wabił się Abor. Dla nas, dzieci, dom był tajemniczy, bo rzadko widywało się jego mieszkańców, zwykle panowała tam cisza, no i ten wielki pies pilnujący domu i ogrodu. Dziś na tym miejscu pobudowana jest apteka i dom opieki dla starszych ludzi.

W naszym sąsiedztwie, tylko po drugiej stronie ulicy, stał nieistniejący dziś dom pani Wiczorkiewicz. Ona miała dwie córki, Bronkę i starszą od niej Hankę, która działała w konspiracji, była w plutonie „Zośka”. To w tym domu, pod przykrywką beztroskich zabaw, gromadziła się młodzież na konspiracyjne spotkania.

Obok mieszkała w ładnym, drewnianym domu pani Wąsowicz. Była żoną polskiego oficera, pochodziła z Rosji, chyba była Rosjanką, która do Polski przyjechała po rewolucji październikowej. Była wykształcona, czasem udzielała lekcji języka francuskiego. Nazywano ją Pajdisiuda. Przewisko wzięło się stąd, że miała duży ogród, który często odwiedzali amatorzy cudzych owoców i słychać było wtedy, jak pani Wąsowicz krzyczy na nich po rosyjsku na całą ulicę: „pajdi siuda!”. Nie ma już domu pani Wąsowicz ani jej ogrodu.

Wracając na lewą stronę ulicy, to za posesją pani Malinowskiej był dom państwa Fendrychów. Ona była krawcową, on wziętym szewcem, zatrudniał nawet kilku czeladników. Oboje byli bardzo pracowici. Co piątek wyjeżdżali na targ wózkiem zapętnionym butami, ubraniami.

Jako następny, po lewej stronie ulicy, stał drewniany dom pani Kopciowej. Dziś dom jest przebudowany. W głębi, po prawej stronie, mieszkała pani Jasińska, która miała krowy i one często wypasały się na ulicy, bo tu trawa rosła, a dalej stały coraz biedniejsze drewniane domki, wręcz komórki, w których gnieździło się wiele rodzin.

Z tych starych porządniejszych budynków został dom państwa Nowaków, pana Kłosa - który miał sklepik, Koryckich - którzy też mieli sklepik, dom pana Dudka, a po lewej stronie duży, solidny dom, którego właścicielem był Niemiec, Woldhard lub Wolthard. Jest też niski budynek, dom, w którym mieszkał Wacław Kaun, pierwszy burmistrz Piaseczna po odzyskaniu wolności w 1918 roku. Teraz te budynki są w różnym stanie, a niezamieszkałe domy popadają w ruinę.

Po obu stronach ulicy rosną w tym miejscu stare, chyba stuletnie kasztany. Na szczęście, nie wycięto ich podczas budowy ulicy.

Ostatnia z położonych przy ulicy posesji, duża, należała do pani Bonieckiej. Jej ogród ciągnął się aż do obecnej ulicy Żeromskiego. Po wojnie państwo przejęło tę posiadłość, być może wypłacając jakieś właścicielom grosze, i wybudowano tu przedszkole. Naprzeciwko przedszkola stoi stary dom pani Wróblewskiej.



Ul. Kauna dawniej Ogródowa, po prawej - kasztanowce przed domem Wacława Kauna - pierwszego burmistrza Piaseczna w II Rzeczypospolitej (1818 - 1926), zdjęcie współczesne.
Fot. Małgorzata Szturomska

Ulica Emilii Plater

Emilii Plater była polną drogą łączącą ulicę Staszica ze Wschodnią. Dopiero w latach sześćdziesiątych poprowadzono ją dalej do ulicy Żeromskiego. Pod koniec wojny na miejscu obecnej ulicy stały ze dwa domy, a resztę terenu zajmowały pola, na których uprawiono zboże, rosły tu jakieś drzewa, polne grusze.

Ulica Żeromskiego, dawniej Gruzowa

Przed wojną stały przy niej dwa lub trzy stare domy. Po wojnie, chyba w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wybudowano tutaj stację wodociągową, powstało osiedle dla nauczycieli, potocznie nazywane Sudołowem, od nazwiska przewodniczącego powiatowej rady narodowej, który zainicjował jego budowę.

Majątek Chyliczki

Na teren Chyliczek od strony ulicy Żeromskiego wchodziło się bramą, która była tu, gdzie jest mostek nad Perełką. Za ogrodzeniem stały trzy nieduże szklarnie i rosły w nich piękne kwiaty. Staw był zagospodarowany, zadbany, pływały w nim stada kaczek. Wokół budynku, w którym mieściła się Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego dla dziewcząt, było dużo drzew, ale część wycięli Niemcy. Jakies ich jednostki wojskowe tu stacjonowały przez cały czas okupacji, a tuż przed Powstaniem budynek zajęła jednostka Węgrów.

Naprzeciwko tego budynku przed wojną był mały budynek, chyba drewniany, częściowo wpuszczony w ziemię i to była sala, w której dzieci, wśród nich i ja, dawały przedstawienia.

Przedstawienia przygotowywały społecznie panie z Akcji Katolickiej, do której należała też moja matka. A z takich dziecięcych przeżyć, związanych z Chyliczkami, zachowałem w pamięci obraz polskich ułanów, siedzących na tarasie Poniatówki i pięknie śpiewających jakąś piosenkę.

Park w Chyliczkach, lata
osiemdziesiąte XX w.
Fot. Tadeusz Tyszką





Budynek przedwojennego „Jasnego Domu” przy ul. Mickiewicza, po wojnie siedziba piaseczyńskiego szpitala, rok 1954.

Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie

Ulica Mickiewicza

Ulica Mickiewicza przed wojną była zwykłą, ziemną drogą, wąską i błotnistą. Często przychodziłem tu do moich szkolnych kolegów, braci Studniarków. A braci było czterech. Dwaj to byli bliźniacy: Kazik i Janek, tak do siebie podobni, że jedynie matka ich rozpoznawała. Mieszkali oni zaraz na początku ulicy w długim, wielorodzinnym, parterowym budynku należącym do rodziny Chruścińskich. Teraz w tym miejscu stoi murowany, piętrowy dom.

Dalej stała piękna willa profesora Kaniewskiego. Otaczający ją ogród był dla dzieci krainą baśni, bo na zadbanych trawnikach stały wielkie muchomory, zielone żaby, krasnoludki. To były drewniane rzeźby, które dla dzieciaków stanowiły ogromną atrakcję.

Piętrowy, murowany dom z kolumnami na ganku należał do państwa Ostaszewskich. Niemcy, niedługo po wejściu do miasta, wysiedlili właścicieli do starego baraku przy Czajewicza, a tu dość krótko była siedziba Arbeitsamtu, a następnie komenda garnizonu. Po wyzwoleniu budynek przejęło NKWD i UB. Zatrzymanych umieszczano między innymi w komórkach, które jeszcze dziś stoją w głębi podwórka.

Właścicielami kolejnej posesji byli państwo Samulscy, a za nimi miała swój dom pani Karaszkiewiczowa, moja ciotka.

Z posesją po drugiej stronie ulicy łączą się miłe wspomnienia. Przed tą willą był duży basen a nad nim śliczny mostek w kształcie łuku. Mieszkał tu dentysta Rytarowski, ale nie wiem, czy to on był właścicielem.

Trochę dalej, pod numerem 17, stoi kolejny dom państwa Kołakowskich, który zajęli Niemcy. Tutaj mieścił się Arbeitsamt, ich urząd pracy zajmujący się przymusowym wysyłaniem Polaków do niewolniczej pracy w Niemczech. Budynek niewiele się zmienił od tamtego czasu.

Dalej stoi okazały dom z tarasem należący do Rostkiewiczów, a po prawej stronie ulicy dom pana Tychmanowicza.

Budynki szpitala stojące przy końcu ulicy Mickiewicza całkiem zmieniły krajobraz tego miejsca. Przed wojną była tutaj piękna posesja w dużym, także pięknym ogrodzie. Willa nazywana była Jasnym Domem i mieścił się w niej bardzo dobrze prowadzony sierociniec dla

chłopców w wieku od 8 do 18 lat. Pierwsze piętro tego budynku było olbrzymim tarasem zadaszonym niebieskim sufitem. Posesja była otoczona wysokim ogrodzeniem ze sztachet, a na noc był spuszczały bardzo groźny wilczur. Podopiecznych było chyba trzydziestu i pochodzili z różnych stron Polski. Dwóch chłopców z tego sierocińca chodziło ze mną do szkoły.

W tym budynku w czasie wojny stacjonowały niemieckie jednostki sztabowe i pewno z tego powodu Niemcy, zaraz na początku okupacji, utwardzili nawierzchnię ulicy nawożąc ceglany gruz.

2 sierpnia w 1944 roku z tego pięknego tarasu Niemcy prowadzili ostrzał chłopców z NSZ, którzy rozbroili granatowych policjantów z posterunku w Iwicznej. Zrobiła to dziewięcioosobowa grupa z plutonu por. „Antka” Mariana Orłowicza. Po akcji wracali wzdłuż torów do Zalesia Adamów, bo tam mieli wyznaczony punkt koncentracyjny oddziału. Niedaleko stąd minął ich samochodem oficer niemiecki. Widać wzbudzili jego podejrzenia, bo wysłał za nimi patrol. Wywiązała się walka. Nasi zaczęli się ostrzeliwać, ale Niemcy mieli więcej doświadczenia, lepszą broń i dobre pozycje. Wtedy nie było tych drzew po drugiej stronie ulicy i z tarasu mieli jak na dłoni tory, przez które chłopcy chcieli uciec do ogrodu pana Reszczyka. (Jego syn, który w tej akcji nie brał udziału, ale do konspiracji należał, zginął w Pęcicach.) Ostrzał był też prowadzony z wiaduktu, tam stanął niemiecki wojskowy samochód i chłopcy byli w pułapce. Zginął wtedy Stefan Sieklicki i dowódca grupy, Zbyszek Tomczyk, który miał siedemnaście lat. Dostał serię, gdy przeskakiwał przez płot i tak na tym płocie zawisł. Jeden z chłopaków, Heniek Kokoszka wskoczył do studni. Ocalał, bo było tam mało wody, a reszta uciekała Pomorską i Orężną.

Nasz dziecięcy raj

Ulicę Mickiewicza zamyka przedwojenny, ładny, piętrowy dom Kencboka. Tuż obok, bardziej w stronę torów kolejowych, jest wielka, piękna polana otoczona dębami. To był nasz dziecięcy raj, nasza baza, poligon, miejsce wspianych zabaw.

Tu odbywały się wojskowe ćwiczenia na dzidy, lance. Mieliśmy swoje obserwatorium, służby sanitarne. Każdy ściągął z domu, co tylko mogło się w zabawie przydać, bo za każdą przyniesioną rzecz otrzymywało się punkty. A im więcej punktów się nabierało, tym wyższy stopień był przyznawany. Ktoś nawet stary parawan przyniósł, wyciągaliśmy z niego bambusowe kijki, które świetnie nadawały się na broń.

Pod wodzą Henia Rostkiewicza staczaliśmy walki z wrogą armią zwaną Turkami, bo ich przywódcą był Władek Turek. Niestety, oni częściej dawali nam cięgi, bo byli starsi i trochę mniej grzeczni. Kiedy było zawieszenie broni, to graliśmy na polanie w piłkę.

Gimnazjum przy alei Kalin

Może trudno uwierzyć, ale w miejscu, gdzie teraz stoi gimnazjum, był piaszczysty, pagórkowaty teren przypominający istniejące do dziś w Zalesiu tzw. Górki Szymona. Przed wojną tymi piaszczyńskimi górkami zajmował się Związek Strzelecki. To była ogólnopolska organizacja zwana potocznie Strzelcem, która prowadziła dla starszej młodzieży zajęcia

z wychowania fizycznego i przysposobienia obronnego. Stworzyli tu piękne miejsce do uprawiania sportu. Patrząc od strony Zalesia tu, gdzie stoi lewe skrzydło gimnazjum, było boisko do piłki nożnej, następnie między dwiema naturalnymi wydmami urządzono strzelnicę, a za nią był kort tenisowy. W czasie wojny to wszystko niszczało. Kilka razy Niemcy dokonali tu egzekucji, prawdopodobnie rozstrzeliwali tu Żydów.

Po wojnie góry zostały rozkopane a piach wykorzystano na różnych budowach. Na płaskim terenie powstało targowisko, które z czasem przeniesiono na plac przy ulicy 22 Lipca, dziś Jana Pawła II i wtedy na wiele lat miejsce po dawnych górkach stało się wysypiskiem śmieci.

Kazimierz Lenarczyk

ur. 1931 r. w Piasecznie



Fot. Małgorzata Kawka

Wspomina Marek Modrowski

Najpiękniejsza ulica miasta

Można powiedzieć, że przedwojenne Piaseczno miało swoje charakterystyczne i naturalne punkty graniczne. Od strony Warszawy granicę miasta wyznaczała kuźnia, która stała zaraz za obecnie istniejącym budynkiem sklepu „Rossmann”. Od strony wschodniej miasto zamykał mur otaczający Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego dla panien z dobrych domów, założoną na terenie majątku Chyliczki, pod koniec XIX wieku, przez hrabiankę Cecylię Plater-Zyberkównę. Po wojnie majątek przejęło państwo, budynki i piękny park zmarniały, zabudowania gospodarcze popadły w ruinę, rozebrano mur. Naturalną granicą miasta od strony południowej była Jeziorka z mostem w Żabieńcu. Patrząc dziś na rzekę trudno chyba uwierzyć, że jeszcze kilkadziesiąt lat temu była piękna, czysta, że miała plażę, miejsca kąpielowe. Na jednym z nich dziś jest restauracja „Acapulco”. Przed wojną stał tam drewniany młyn, było spiętrzenie wody wspinał się nadając się do kąpeli, piękna i zadbana plaża. Mówiło się „idę na Grabego”, bo przedwojenny właściciel tych terenów tak miał na nazwisko. Po wojnie młyn został przejęty przez władze, utworzono w nim magazyny Gminnej Spółdzielni, później budynek spłonął i wiele lat, aż do powstania restauracji, miejsce było zaniedbane. Od strony Zalesia Dolnego takimi symbolicznymi rogatkami miasta były wiadukty kolejowe w Alei Kalin i Stołecznej.

Ulica Graniczna (dziś Sienkiewicza), róg Kościuszki. Piaseczno sprzed II wojny światowej. Po lewej stronie kamienica państwa Rowińskich z 1925 r., po prawej ciąg drewnianych budynków państwa Szymańskich. W głębi kamienica, w której po wojnie była kulturalna restauracja „Pod Kaktusem”. Zdjęcie z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX w.
Fot. Muzeum Regionalne w Piasecznie



Przedwojenne Piaseczno nie odznaczało się urodą i zadbanie, ale powstało wówczas miejsce, które odbiegało od tego obrazu. Część miasta, od strony Zalesia Dolnego i Żabieńca, stało się enklawą pięknych willi otoczonych zadbanymi ogrodami. Do dziś zachwyca położona nad rzeką odrestaurowana „Regnerówka”. A uważny obserwator, idąc w stronę Jeziorki ulicą

Świętojańską, może wśród zarośli dostrzec resztki ceglanego muru, dwie kolumny mówiące, że w tym miejscu była brama. To ślady po pięknej posesji i parku, w którym stały posągi. Nie wiem, do kogo ona należała, ale pamiętam, że jako dziecko chętnie przychodziłem tam z kolegami bawić się w jeszcze pięknym, choć zaniedbanym parku.

Było w tamtej okolicy wiele pięknych domów i miejsc, ale najpiękniejsza była zbudowana w 1928 roku ulica Mickiewicza. Osiedlali się przy niej ludzie zamożni, którzy mogli pozwolić sobie na zakup drogiej działki. Tak się też składało, że byli to ludzie wykształceni, którzy posiadali dobry gust, poczucie estetyki, doceniali piękno, elegancję i prostotę. Takie właśnie powstawały tam posesje – piękne domy tonące w kwiatach i zieleni. Między innymi domy pobudowali oficerowie wojska polskiego: pułkownik Ornowski, pułkownik Kamiński, major Kentcbok, który zginął w Katyniu. Dom tego ostatniego, duży budynek otoczony ogrodem, zamykał ulicę, dalej szła wybijana czerwoną cegłą leśna droga prowadząca do posiadłości Branickich, którzy mieszkali za Aleją Kalin. Willa majora Bronisława Kencboka stoi do dziś, ale jest zaniedbana i widać tylko ślady jej dawnej urody.

Z przedwojennego okresu zachowało się też jeszcze kilka innych domów. Stoi dom adwokata Kaniewskiego, prawie niezmieniony jest dom Ostaszewskich, w którym po wojnie swoją siedzibę miał Urząd Bezpieczeństwa. W czasie okupacji dom był zajęty przez Niemców, przez jakiś czas działał w nim ich Urząd Pracy, który dość szybko przenieśli do domu państwa Kołakowskich. Kołakowscy przyjechali do Polski chyba w 1928 roku, mieli trzech synów i dwie córki. Pobudowali dom pod Zalesiem i drugi tutaj, na Mickiewicza. Tak jak większość domów w tej części miasta to był piękny, kryty czerwoną dachówką budynek. Moja matka opowiadała, że odbywały się w nim eleganckie bale. W czasie wojny dom zajęli Niemcy, utworzyli tam Urząd Pracy, a po wojnie władze komunistyczne zrobiły tu dom partii. Prawowici właściciele, wyrzuceni przez Niemców do garażu, cały czas w nim mieszkali i tam umarli. Ich dom stoi do dziś, niestety widać po nim upływ czasu.

Wśród stojących przy Mickiewicza posesji są też domy moich dziadków i rodziców. Dziadkowie postawili tutaj dom w 1928 roku. W nim dorastała urodzona w 1913 roku moja matka i jej rodzicielstwo. Chociaż były to trudne czasy, wykształcenie dużo kosztowało, ale dziadkowie wykształcili swoje dzieci. Matka jeździła kolejką do Warszawy do gimnazjum, w którym uczyła się też Jadzia Smosarska, przyszła wielka aktorka. Kolejnym etapem nauki była filologia francuska na Uniwersytecie Warszawskim. Aby pomóc rodzicom matka dawała lekcje młodemu Szymczakowi. Jego ojciec był piekarzem i często za te korepetycje płacił chlebem. Po studiach przez pewien czas matka pracowała w Instytucie Francuskim, a później wyszła za mąż i zajęła się domem i dziećmi.

Mój ojciec, Tadeusz Modrowski, urodził się w 1910 roku w Piasecznie. Miał 14 lat, gdy rozpoczął praktykę w zakładzie elektromechanicznym przy ulicy Bagatela w Warszawie, gdzie uczył się zawodu elektromechanika. Potem przyszedł czas na służbę wojskową - ojciec służył w batalionie silnikowym w Twierdzy Modlin. Gdy ukończył służbę postanowił wyjechać do Gdyni i pracować przy budowie portu. Zatrudnienie znalazł w warsztatach portowych marynarki wojennej. Z Gdyni co jakiś czas przyjeżdżał do Piaseczna, tu ożenił się z moją matką i tak było aż do września 1939 roku. Została wtedy ogłoszona powszechna mobilizacja i ojca powołano do wojska. Został skierowany do Twierdzy Modlin, brał udział w jej obronie a po kapitulacji wrócił do domu. Ojciec był energicznym człowiekiem. W Piasecznie przy ulicy Ki-

lińskiego 17 miał warsztat mechaniczny. W Warszawie z kimś do spółki prowadził sklep z artykułami piśmiennymi i jednocześnie działał w konspiracji. Najpierw w Związku Walki Zbrojnej, gdzie miał pseudonim Sztyft, a następnie w Armii Krajowej, w którą w lutym 1942 roku ZWZ zostało przekształcone. Jako żołnierz AK miał pseudonim Sokół.

W 1940 roku, w czasie jednego z wyjazdów do Warszawy został złapany w łapance. Z narażeniem życia udało mu się napisać parę słów na małych karteczkach i zwinięte w rulonik wyrzucić z pociągu, ktoś je znalazł i dostarczył pod wskazany adres. Tak się wtedy robiło. Treść tych liścików mogę z pamięci cytować: „Wywożą nas z Dworca Zachodniego w nieznanym kierunku. Uprzejmego znalazcę proszę o dostarczenie wiadomości do sklepu na Marszałkowskiej lub moich rodziców w Piasecznie” i podane były adresy. Nie wiedzieliśmy co dalej z ojcem się dzieje. Dopiero po jakimś czasie zaczęły przychodzić od niego listy z obozu w Oświęcimiu. Miał numer obozowy 2759.

To był jeszcze czas, gdy można było próbować wykupić uwięzionego człowieka. I matka próbowała to zrobić. Nie wiem jak tego dokonała, ale udało się. Ojciec wrócił do domu, lecz przez tydzień po powrocie nie chciał z nikim rozmawiać, nigdy też o obozie nie opowiadał. Być może o pewnych sprawach wiedziała jedynie moja matka, bo rodzice byli sobie bardzo bliscy.

Z wiosną 1944 roku ojciec zaczął budować nasz dom przy ulicy Mickiewicza. Przez okres budowy, która zresztą bardzo szybko postępowała, prowadził skrupulatne zapiski dotyczące wydatków związanych z nią. Ostatni zapis jest pod datą 28 lipca. Dom jeszcze nie był ukończony, ale wybuchło Powstanie. Batalion „Krawiec”, w którym był ojciec, połączył się z batalionem „Basztą” i wspólnie walczyli na Dolnym Mokotowie.

Na Dolnym Mokotowie walczył też brat mojej matki, Stanisław Karaszkiewicz, ale on nie wrócił do domu. Brat matki był studentem Politechniki Warszawskiej, tak jak ojciec służył w Twierdzy Modlin. W czasie okupacji został przymusowo wywieziony na roboty. Najpierw w Poroninie pracował dla niemieckiej organizacji TODT, która budowała obiekty wojskowe, potem wywieziono go na Ukrainę. Stamtąd pisał do babci listy, w których przemycał informację, że wie, komu „zawdzięcza” przymusową pracę. Z Ukrainy uciekł do kraju, poszukiwany przez Niemców ukrywał się aż do czasu wybuchu Powstania. Pod koniec sierpnia jego oddział został otoczony przez Niemców w kościele św. Michała na rogu Puławskiej i Dolnej. Wuj został wywieziony do obozu we Flossenbürgu i pracował w kamieniołomach. Długo nie wiedzieliśmy, co się z nim stało. Po wojnie babcia szukała syna przez Czerwony Krzyż, ale dopiero w latach 50-tych otrzymała informację, że zginął w obozie. Jego symboliczny grób jest na cmentarzu na Bródnie.

Ojciec w Powstaniu był do kapitulacji, ale nie poszedł do niewoli, jakoś udało mu się uciec i wrócić do Piaseczna.

Wojna się skończyła, ale nie skończyły się represje. Ojciec wynajął piwnice naszego domu fabryce papierów wartościowych na magazyn. I pewnego dnia, krytym samochodem ciężarowym, podjechali chłopcy z lasu, postawili wszystkich pod ścianą, załadowali papiery i pojechali. Oczywiście, zaczęło się śledztwo, NKWD ojca aresztowało, siedział w piwnicy budynku stojącego tuż obok naszego domu, bo tam mieli swoją siedzibę. I nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie awaria elektryczności w Piasecznie. Szukali kogoś, kto ją szybko usunie i okazało się, że fachowiec siedzi zamknięty w piwnicy. Wypuścili go, ale wciąż mieli na oku.

Ul. Mickiewicza, na pierwszym planie dom Niny i Kazimierza Lipińskich, właścicieli wytwórni rowerów „Ormonde”. W tle dom Kołakowskich, w czasie wojny Arbeitsamt (niemiecki Urząd Pracy), po wojnie siedziba Urzędu Bezpieczeństwa
Fot. Małgorzata Szturomska



W 1946 roku ojciec ginie w wypadku drogowym w Dąbrówce. Sprawcami byli pijani przedstawiciele ówczesnej władzy. Później była jakaś sprawa sądowa, ale wszystko się rozmyło.

Mimo śmierci ojca wciąż były u nas rewizje w poszukiwaniu broni. Zarekwirowano wszystkie ojca maszyny. To właśnie przez te ciągłe rewizje, nieustające poczucie zagrożenia trudno dziś jest mi określić dokładne daty pewnych wydarzeń z życia ojca, bo matka zniszczyła wiele jego dokumentów, zapisków. Pamiętam, że je spaliła a nam, dzieciom, tłumaczyła, że trzeba tak zrobić dla naszego bezpieczeństwa.

A tę broń, której bezskutecznie szukali „smutni panowie”, znalazły babcia z matką w latach sześćdziesiątych. Przy okazji jakiegoś remontu odkryły schowek pod schodami, a w nim dwa pistolety, i ku mojemu żalowi, odniosły je na posterunek milicji.

Moja matka, aby po śmierci ojca utrzymać dzieci i dom, wróciła do pracy zawodowej. Pracowała w szkole na Świętojańskiej jako nauczycielka. To były trudne czasy z wielu względów. Ot, choćby prozaiczna sprawa, czyli higiena. Lekcje zaczynały się od sprawdzenia czystości dziecięcych głów, czy nie grasują we włosach wszy, co było częstym zjawiskiem. Do szkoły chodziła wyrosnięta młodzież, która odrabiała wojenne zaległości, nie zawsze mając chęć do nauki. Niektórzy ze starszych chłopców należeli do ORMO (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej). Kiedyś tacy chłopcy zatrzymali mnie na komendzie, bo jechałem na rowerze chodnikiem i wezwali matkę. Miałem wtedy siedem albo osiem lat. Tak się jakoś złożyło, że to byli uczniowie z klasy mojej matki.

Kwitło donosicielstwo. Kiedyś dzieciaki w czasie przerwy na melodię piosenki „Na lewo most, na prawo most” śpiewały:

*Na prawo litr, na lewo litr,
w środku dekoracja,
tu nie ma nic, tam nie ma nic,
tak rządzi demokracja.*

Okna w szkole były pootwierane, ktoś na ulicy usłyszał tę piosenkę i doniósł na milicję. Było dochodzenie, wzywani rodzice, był strach, bo to był okres głębokiego stalinizmu, gdy za błahe rzeczy ludzie znikali w więzieniach, a cóż dopiero za „obrazę” władzy.

Mimo represji ludzie na potęgę słuchali zakazanego radia Głos Ameryki. Dla wielu ta Ameryka była krainą wolności i szczęścia. W klasie, w której matka była wychowawczynią, dwóch chłopców próbowało uciec do tej krainy. Podróż skończyła im się pod Kutnem, gdzie jeden z nich wpadł pod pociąg i stracił nogę. Miał czternasce czy piętnasce lat. Potem przychodził do szkoły o kuli i kiedyś uderzył nią w portret marszałka Rokossowskiego. Wtedy za taki czyn groziły bardzo poważne konsekwencje. Jakoś to się rozeszło ale wiem, że było dochodzenie, że rodzice tego chłopca długo mieli z tego powodu poważne nieprzyjemności.

W Piasecznie była namiastka tej amerykańskiej wolności, można było na nią czasem popatrzeć. Przy Mickiewicza, tuż za naszą posesją dom postawił Franciszek Chruściński. To był przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Budynek był niewykończony, ale wynajęła go na letnią rezydencję ambasada amerykańska. Wykończyli ten dom, wybudowali garaż, wstawili meble. Przedstawiciele ambasady przywożeni byli przez szofera pięknym, wiśniowym kabrioletem z białym, otwieranym dachem. Odbываły się przyjęcia, w czasie których często najlepszą zabawą było ustawianie butelek po wódce na dachu garażu i strzelanie do nich z wiatrówki.

Mimo powszechnej biedy były w mieście domy eleganckie, w których życie toczyło się na wysokim poziomie. I to nie była rezydencja amerykańskiej ambasady. Otóż przy ulicy Rejtana była duża posesja. Mieszkała tam rodzina Cariuków. Państwo Cariukowie mieli dwie córki: Helę i o dwa lata od niej starszą Hanę. Hanka chodziła do klasy, której wychowawczynią była moja matka, a Hela była ze mną w jednej klasie. Często chodziłem tam w odwiedziny. Działka była duża, miała parę tysięcy metrów powierzchni. Charakterystyczne, że były tam trzy bramy wychodzące na ulice: Rejtana, Staropolską i 17-tego Stycznia. Dom był piękny, kryty czerwoną dachówką, z tyłu miał kryty taras wychodzący na piękny ogród. Pamiętam wewnątrz domu, eleganckie, z ciemnymi meblami. Czasem jadłem tam z dziewczynkami drugie śniadanie, które podawała gospoia w białym, nakrochmalonym fartuszk. Pamiętam też, że bywał tam Konstanty Ildefons Gałczyński, bo matka dziewczynek była jego siostrą. Poeta często jeździł od nich starą dekwą do Obór, do pałacu literatów. Później władze przydzieliły Cariukom lokatorów, a jeszcze później była tam jakaś spółdzielnia, aż którejś nocy dom został po prostu rozebrany. I nie ma po nim śladu. A cała posesja została zabudowana.

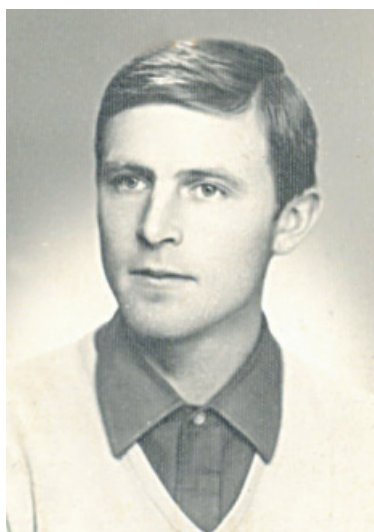
Pamiętam przyjeżdżającego do Piaseczna Gałczyńskiego, pamiętam też prezydenta Wojciechowskiego. W stojącym do dziś domu na rogu Świętojańskiej i Krótkiej na piętrze mieszkała moja wychowawczyni, pani Kędzierska, która opiekowała się mną, gdy matka miała dłuższą lekcję. Parter tego domu zajmowała rodzina samego prezydenta Wojciechowskiego. Kiedyś, gdy akurat tam byłem, prezydent przyjechał odwiedzić rodzinę. Coś do mnie zagadnął, przywitał się, ale nie zrobiło to na mnie wtedy wrażenia, bo nie wiedziałem, kto to jest. Zauważyłem tylko, że jest tak samo wysoki jak Wojciechowsky. Dopiero pani Kędzierska wytłumaczyła mi, że to znany i ważny człowiek.

Pewno Piaseczno zawsze miało szczęście do znanych lub mniej znanych, nietuzinkowych ludzi. Od ulicy Bema była dróżka, którą można było iść na tzw. skróty do stacji kolei szerokotorowej i po drodze mijało się schowaną w zaroślach, zniszczoną przez czas i ludzi, dziwną budowlę, coś jak metalową rurę. To było obserwatorium astronomiczne, które wybudował mieszkający przed wojną w Piasecznie astronom, profesor Krassowski.

Miejsce to przyciągało swoją tajemniczością. Innym takim miejscem była tzw. Różanka. Tam chętnie chodziliśmy w starszych klasach na wagary.

Po prawej stronie torów prowadzących w kierunku Zalesia, schowany w lesie był grób żołnierzy rosyjskich i niemieckich z okresu I wojny światowej. Cmentarzyk otoczony był murem z kamienia, pośrodku była płyta z napisem upamiętniającym poległych, a wszystko było obrosnięte krzakami dzikich róż. Ten wręcz sielski obrazek niszczyła działalność lisów. Miały tam swoje nory i często wywlekały na powierzchnię ziemi szczątki pochowanych. Gdy poszedłem w to miejsce już jako dorosły, to prawie nie było już śladów cmentarzyka i dzikich róż.

Tak samo znikają domy dawnego Piaseczna, odchodzą ludzie, a wraz z nimi pamięć o miejscach, wydarzeniach. Kto jeszcze pamięta, że przy ulicy Zagrodowej mieszkała rodzina Wojciechowskich, że mieli dwóch synów, ona była nauczycielką, on wojskowym w stopniu kapitana i Niemcy rozstrzelali go w jego własnym domu na oczach rodziny. A przecież „umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią się im płaci”.



Marek Modrowski

ur. w 1942 roku w Piasecznie

Fot. archiwum rodzinne Marka Modrowskiego

Wspomina Helena Rdzanek

Piaseczyński szpital z czasów Powstania Warszawskiego

Przy ulicy Kościuszki 51 stoi budynek z czerwonej cegły. Jak informuje zawieszona na budynku tablica pamiątkowa, od września 1944 roku do lutego 1945, znajdował się tu szpital dla powstańców i ofiar wojny. To prawda, że w tym czasie istniał tam szpital, ale powstał on wcześniej, bo działał już od 1 sierpnia i nie w tym budynku.

Ulica Kościuszki i budynek starej przychodni, w której od sierpnia 1944 roku mieścił się szpital powstańczy. Lata siedemdziesiąte XX w.
Fot. Jacek Mrówczyński



Chyba niewiele osób pamięta o przedwojennej przychodni, tzw. Kasie Chorych, która mieściła się w nieistniejącym dziś domu przy ul. Kościuszki 8. Przyjmował tam doktor Henryk Danielewicz, była pielęgniarka i habitowa siostra z Czerwonego Krzyża. I to właśnie w tej przychodni uruchomiono punkt sanitarny dla rannych powstańców i dla ludności cywilnej, prowadzony przez doktora Danielewicza, który był żołnierzem AK. Byłam jedną z sanitariuszek pracujących w tym szpitalu.

W sierpniu 1943 roku, w wieku siedemnastu lat, zostałam przyjęta w szeregi Armii Krajowej działającej na terenie Piaseczna. Był to VII obwód Obroza, V Rejon Gątyń, 1704 pluton pod dowództwem st. sierż. Antoniego Majewskiego, ps. „Sosna”, a od 1 sierpnia 1944 r. Zygmunta Wągorodzkiego, ps. „Eustachy”. Kobiące służby wojskowe podlegały Jadwidze Reszczyk, ps. „Baśka”. Po zaprzysiężeniu przez komendantkę zostałam, zgodnie z moim życzeniem, przydzielona do drużyny sanitarnej. Należałam do młodszego patrolu Wandy Jachimskiej, ps. „Ryta”. W skład patrolu obok niej wchodziły Zofia Matulka ps. „Wanda”, Helena Lenard ps. „Lena”, Wanda Zajac ps. „Zdzisława”, Maryla Dudkiewicz ps. „Krzysia” i ja, Helena Lenarczyk, ps. „Emilka – Mila”. W czasie dalszej służby w patrolu odbyłam przeszkolenie

ogólnowojskowe i sanitarne, po czym złożyłam egzamin wojskowy w grudniu 1943 r. i sanitarny w kwietniu 1944 r.

W ramach służby kolportowałyśmy prasę podziemną „Biuletyn Informacyjny” i „Rzeczpospolitą”, przygotowywałyśmy sprzęt sanitarny, zbierałyśmy leki i materiały opatrunkowe na czas akcji zbrojnej. Zajmowałyśmy się także zbieraniem informacji o ruchach wojsk niemieckich na trasie Góra Kalwaria - Piaseczno - Warszawa. Polegało to najczęściej na obserwacji drogi z okna mieszkania Marii Szymańskiej ps. „Emilia”. Jej dom stał na rogu ulic Kościuszki i Sienkiewicza.

1 sierpnia, przed południem, dostałam rozkaz od swojej komendantki, że mam stawić się w lokalu Kasy Chorych, bo będzie tam organizowany punkt szpitalny dla powstańców i ludności cywilnej. Wzięłam przechowywaną potajemnie w domu torbę sanitarną i stawiałam się na miejsce zbiórki meldując się do doktora Danielewicz.

Pierwszych rannych przywieziono już następnego dnia, po pacyfikacji Orężnej. Była to ciężko poparzona dziewczyna i chłopak z postrzałem kręgosłupa. Nie było łóżek, ranni leżeli na noszach, a doktor Danielewicz na zwykłym stole przeprowadzał operację. Chłopak zmarł następnego dnia. Dziewczyna strasznie po nim płakała.

Zdając sobie sprawę z tego, że rannych będzie coraz więcej, doktor Danielewicz zwrócił się do burmistrza Piaseczna o pomoc, mówiąc cały czas o szpitalu dla ludności cywilnej. Burmistrzem był wtedy Niemiec, Karol Rodszyld - jak się okazało - człowiek przyzwoity. Zdecydował o przeniesieniu szpitala do drewnianego budynku starej szkoły przy ulicy Świętojańskiej, zapewnił też zaopatrzenie w żywność. Na jakich to było zasadach, nie wiem, ale przywożono furmanką produkty żywnościowe, nawet mięso było. Gotowaniem zajmowały się mieszkające w starej szkole woźna ze swoją córką. Oficjalnie szpital przyjął nazwę „Miejski Szpital dla osób cywilnych miasta Piaseczna”. Razem ze mną służbę w szpitalu pełniły sanitariuszki z drużyny sanitarnej: Zofia Matulka, ps. „Wanda”, Irena Sadurska ps. „Zofia”, Maria Węgrzyńska ps. „Elżbieta” i Anna Kietsznia.

Trzeba pamiętać o tym, że tuż obok, w dużym gmachu szkolnym, stacjonowali Niemcy, mieli tam swój szpital. Teren był ogrodzony, od strony Świętojańskiej były zasieki, stały dwa bunkry. Personel szpitala wraz z wolontariuszami, bo zgłosiło się kilka osób do pomocy, musiał mieć biały fartuch z czerwonym krzyżem, a przy bramie trzeba było okazać wartownikowi przepustkę wystawioną przez niemiecką komendanturę w Piasecznie. Kiedyś przywieziono ciężko rannego młodego chłopaka z lasu. Pamiętam, że miał pseudonim „Wilk” i nie można było go przeszmygłować przez bramę, bo wartownik tego dnia był bardziej dociekliwy niż zwykle. I tego biednego chłopaka przenieśli przez płot znajdujący się na tyłach starej szkoły. Takich przypadków transportu było kilka.

Do doktora Danielewicza dołączyli inni lekarze. Jednym z pierwszych był świetny chirurg, dr Hryniewiecki oraz wykwalifikowane pielęgniarki: pani Szube i pani Zagórska. Były też dwie panie: Skorupińska i Szube (siostra pielęgniarki), zajmujące się sprawami administracyjnymi szpitala, oraz kilkoro wolontariuszy zajmujących się różnymi pracami pomocniczymi. Wśród nich była Irka Kabat, mieszkająca obok nas na ulicy Kauna 27. Jej rodzina znalazła się w Piasecznie po wysiedleniu z Chodzieży.

Dziewczęta
z młodszego patrolu
Wandy Jachimskiej
ps. „Ryta”
Fot. z archiwum
rodzinnego
Heleny Rdzanek



Irka miała dwadzieścia lat, była piękną dziewczyną, energiczną, świetnie mówiła po niemiecku. Ona i jeszcze jedna dziewczyna zaczęły kontaktować się z Niemcami pracującymi w szpitalu i wydębiały od nich lekarstwa. Wszystko jakoś się udawało, ale pod koniec sierpnia dziewczyny buchnęły z niemieckiego szpitala cały zestaw chirurgiczny. Niemcy szukali tego zestawu i zaczęli od rewizji w naszym szpitaliku. Było nerwowo, bo w tym czasie leżeli u nas ranni chłopcy z lasu, ale jakoś udało się ich ukryć w kartonach na strychu. Podejrzenie o kradzież padło oczywiście na dziewczyny. Zostały wezwane na przesłuchanie do niemieckiej komendy wojennej mieszczącej się wtedy na Mickiewicza. Myślały, że to już ich koniec, na szczęście, burmistrz wstawił się za nimi i puszczono je wolno.

To zdarzenie przyspieszyło przeniesienie szpitala. Myślano o tym już wcześniej, bo stara szkoła była mała, a rannych wciąż przybywało. Coraz więcej rannych było też w szpitalu niemieckim. Niemcy zaczęli szukać dodatkowych pomieszczeń i chcieli zająć starą szkołę.

I znów pomógł nam burmistrz przeznaczając na nową siedzibę naszego szpitala budynek przy ulicy Kościuszki 27, obecnie 51. Dom należał do p. Szyrmera, Niemca, który uciekł przed zbliżającym się frontem.

Rannych przybywało, bo trwały walki, a ponadto często atakowały radzieckie samoloty, które zrzucały bomby gdzie popadło. Szpital był przepełniony, brakowało leków, łóżek, sprzętu – wszystkiego. Lekarze, pielęgniarki, wolontariuszki cudów dokonywali, aby tylko ludziom pomóc. W tamtym okresie często do szpitala przychodził mój brat, Kazik. Odwiedzał ciężko rannego strzelca Wiesia Osieckiego z oddziału partyzanckiego por. „Lancy”. Wiesio zmarł 1 listopada 1944 r., pochowany jest na naszym cmentarzu. Miał szesnaście lat.

W październiku, już po Powstaniu, zdarzyła się tragedia. Na stacji w Pyrach stała ciuchcia i trafił w nią pocisk z dział dalekonośnych stojących za Wisłą. To była masakra. Ranni leżeli wszędzie.

Służbę w szpitalu pełniłam na trzy zmiany. Trwało to do dnia „wyzwolenia” Piaseczna, po czym mój kontakt ze szpitalem i organizacją skończył się. A szpital w lutym 1945 roku przeniesiono do budynku zwanego Jasnym Domem przy ulicy Mickiewicza. W budynku tym przed wojną mieścił się piękny sierociniec, w czasie okupacji stacjonowały tam różne formacje niemieckie. Szpital, rozbudowany kilka lat temu, znajduje się w tym miejscu do dziś.



Helena Rdzanek

z domu Lenarczyk, ur. 1926 r. w Piasecznie

Fot. archiwum rodzinne Heleny Rdzanek

O hokeju i innych sportach

Miałem szczęście, że mogłem uczyć się w piaseczyńskiej „Platerówce”. To była wyjątkowa szkoła pod każdym względem i miała ogromny wpływ na rozwój sportu w Piasecznie. Można powiedzieć, że była kuźnią sportu, bo w działającym w latach pięćdziesiątych Klubie Sportowym „Kolejarz” najliczniejszą grupą byli uczniowie tej szkoły.

Do szkoły poszedłem w 1948 roku. Był wtedy podział na trzy klasy: żeńską, męską i koedukacyjną. Byliśmy najliczniejszym rocznikiem, w mojej klasie było czterdziestu trzech uczniów. Wychowania fizycznego uczyła pani Kiljan prowadząca dziewczyny, Hieronim Zarzycki, który uczył chłopców i pan Chełmicki od lekkoatletyki.

Bazy sportowej nie mieliśmy właściwie żadnej. Tam, gdzie teraz obok Platerówki jest chodnik, biegaliśmy na 100 i 60 metrów. W miejscu obecnego wylanego boiska było boisko do siatkówki, obok była skocznia do skoków wzwyż i w dal. Biegi przełajowe trenowaliśmy w terenie, a pływanie odbywało się w Jeziorce, która wtedy miała wodę pierwszej klasy czystości. W „Platerówce” nie było sali gimnastycznej, jedyna taka sala była w szkole na Świętojańskiej. Miała co prawda wymiar boiska do siatkówki, ale pod jedną ścianą stał piec kaflowy, więc ci, co stali po tej stronie, mieli siedmiu zawodników: sześciu plus piec. Takie to były czasy.

Warunki były trudne, ale to nie przekładało się na poziom rozwoju sportowego, wprost przeciwnie. Na przykład dziewczyny świetnie grały w siatkówkę. Była rozgrywana liga szkolna i my, chłopcy z klasy ósmej, przegraliśmy z rok starszymi dziewczynami. To były bardzo dobre zawodniczki. W Warszawie odbywały się tzw. czwartki lekkoatletyczne i nasze dziewczyny tam wygrywały.

I nikt nie skupiał się tylko na jednej dziedzinie sportu, chociaż każdy miał swoją ulubioną. Dla mnie najważniejszy był hokej, ale grałem też w siatkówkę, trenowałem lekkoatletykę, rzucałem młotem. Pamiętam, jak na jakiś zawodach sportowych grałem w siatkówkę. Między jednym meczem a drugim przychodzą nasi chłopcy i pytają, czy młotem bym nie rzucił, bo jest tutaj taka konkurencja. To rzuciłem. I wygrałem. Wygraliśmy w tę siatkówkę, mamy już odjeżdżać, gdy przychodzi Stefan Żuczek i mówi, że gramy mecz piłki nożnej na stadionie Polonii, a nie ma skrzydłowego i czy bym nie zagrał. To pojechałem. Zagrałem.

Był w Żyrardowie finał mistrzostw w siatkówkę trójek i mieliśmy tam zagrać w składzie, Andrzej Zarzycki, Waldek i ja. Ale Waldkowi mama kazała dywany trzepać i nie mógł jechać. Przychodzimy na dworzec, a na peronie stoi Stasiek Zwierzyński z mojej klasy. Stasiek grał w szkole w siatkówkę, dobrze rzucał oszczepem, a wtedy jechał na zawody szachowe. Zaczęliśmy go namawiać, żeby odpuścił te szachy i z nami pojechał. Trochę to trwało, ale się zgodził. Wygraliśmy ten finał. Tak nas wtedy sportu uczono.

Sport kochałem, ale najbardziej czułem hokej. Zaczęło się od meczy rozgrywanych na zamrzniętych rozlewiskach Jeziorki. Były inne zimy niż teraz, mroźne. Jeziorka wylewała, potem to zamarzało, a myśmy robili kije z leszczyny i graliśmy. I z tego grania na rozlewiskach powstała przy KS Kolejarz sekcja hokeja. To były lata pięćdziesiąte. Najpierw mecze naszej sekcji odbywały się w miejscu, gdzie zjeżdża się z ulicy Sienkiewicza w Pomorską, do niedawna był tam komis samochodowy. Dawniej zawsze tam stała woda. Zimą robiło się na lodzie bramki z butów i już można było grać.

Pierwsze prawdziwe boisko do hokeja powstało na placu naprzeciwko dawnej kolejki. Klub otrzymał ten plac dzięki pomocy władz miasta. Sami powbijaliśmy kołki, zniwelowaliśmy teren, zrobiliśmy bandy z desek, na które pieniądze dała miejska rada narodowa. Kolejka zakupiła wagon Pulmana i w nim była szatnia. Żeby wylać lodowisko przeciągnęliśmy wodę z kolejki, założyliśmy światło. Mieliśmy najlepiej oświetlone lodowisko w okręgu, bo jak zaczynał się mecz, to na kolejce uruchamiali agregat prądotwórczy i widno było jak w dzień. Nie było trybun i ludzie przychodzili z rozstawianymi drabinami, żeby widzieć, co podczas meczu dzieje się na lodowisku.

Z czasem zaczęliśmy jeździć na treningi na Torwar. Wyjeżdżaliśmy z Piaseczna ciężarowym samochodem z plandeką. Treningi mieliśmy w późnych godzinach wieczornych i z własnej kieszeni płaciliśmy za to, żeby nie gasili światła, żeby trochę dłużej pograć. Bo Klub nie miał za dużo pieniędzy. Utrzymywał nas ówczesny największy w Piasecznie zakład pracy, czyli Parowozownia WKD, potocznie nazywana kolejką. Bonusem w ramach tej opieki były darmowe bilety kolejowe dla członków Klubu i na tym przywileje się kończyły. Dużo trzeba było inwestować z własnej kieszeni, dużo było pracy społecznej, ale myśmy to traktowali jako rzecz normalną, był taki zapał, że nikt nie narzekał.

Żeby mieć lepszy sprzęt samemu często trzeba było zapłacić, a hokej był i jest drogim sportem, najdroższe są łyżwy i kije. Wtedy łyżwy polskiej produkcji były takie, że gdy człowiek krążek łyżwą zatrzymał, to ona w pałąk się wyginała. Trzeba ją było prostować. Dobre były łyżwy kanadyjskie, ale drogie. Ja kupiłem takie za całą swoją pensję. Do dzisiaj je mam, polutowane, ale są. Kije często się łamały. Andrzej Ignatowski stopkę kija podbił blachą, żeby mu się ciągle nie łamała.

Trenerom nikt nie płacił. Gdy trenowałem juniorów i jeździliśmy na zawody, to za swoje pieniądze obiady im kupowałem. Tak było.

Obok hokejowej sekcji w Klubie była lekkoatletyka, siatkówka, piłka nożna, ping-pong, szachy, boks. Mimo braku basenu w KS była nawet sekcja pływacka, w której dziewczyny miały bardzo dobre wyniki, swego czasu zdobyły czwarte miejsce na mistrzostwach Polski. A przecież mogły trenować tylko w sezonie letnim, bo nie było basenu. Dopiero na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mogliśmy korzystać z basenu w jakimś ośrodku szkoleniowym w Chylicach, dziś w tym basenie jest kawiarnia. Zawody bokserskie, mecze ping-pongowe odbywały się w baraku, który stał po lewej stronie ulicy Dworcowej, gdzie teraz jest stacja gazowa. Tam też odbywały się wieczorki taneczne, na których grała orkiestra Baraniaka, organizowane po to, żeby na działalność Klubu zarabiać. W tym samym celu latem i jesienią urządzaliśmy zabawy taneczne, tzw. dechy. Działo się to na tym samym boisku, na którym zimą było lodowisko. Organizowaliśmy też kino letnie. Nie ma już tego budynku, przed którym stał ekran pożyczony, jak i cały pozostały sprzęt, z kina „Mewa”.

I wszyscy się w działalność Klubu angażowali bez względu na to, do jakiej sekcji kto należał, co robił zawodowo. Gospodarzem Klubu był fantastyczny człowiek - Janek Zieliński. Zajmował się nami jak własnymi dziećmi. Naprawiał buty, prał koszulki, getry. Jeździł z nami na mistrzostwa i wtedy zawsze dziewczyny dostawały od niego tort.

W piaseczyńskim Klubie grałem do chwili, kiedy Znicz Pruszków ściągnął mnie i Tadeusz Rudnickiego do swojej drużyny. Drużynę prowadził wtedy przedwojenny reprezentant Polski Świcarz, który nas po prostu przetrenował. Ja indywidualnie ćwiczyłem trochę inaczej, bardziej wsłuchiwałem się w swój organizm, w jego wydolność. Mieszkalem wtedy w Zalesiu. Biegałem z domu na most nad Jeziorką, a potem wracałem torami przeskakując po każdym podkładzie i tak dwa razy. Zimą na Zalewie ustawiałem z prowizorycznych słupków slalom, zakładałem łyżwy i po każdym przejechaniu zmniejszałem odległość między słupkami.

Byliśmy w tamtym Klubie rok. W tym czasie trenerem piaseczyńskiej drużyny był Antosiewicz, ale coś mu nie szło, bo przegrywali mecz za meczem i spadali z ligi. Po moim powrocie przejąłem od niego drużynę. Mogliśmy już wtedy korzystać z sali gimnastycznej w Szkole Ruchu Drogowego przy ulicy Puławskiej i rozpoczęły się treningi. Po roku zaczęliśmy wygrywać, weszliśmy do III ligi, ale Klub nie miał już pieniędzy na hokej i sekcja została zlikwidowana. W okręgu warszawskim było wtedy ponad dwadzieścia drużyn hokejowych. Razem z kilkoma zawodnikami przeszedłem do Mirkowa, a Tadek Rudnicki do Baniochy, ale to już nie było to. Coraz mniej było czystego sportu, walki dla idei i, po jakimś czasie, zrezygnowałem z czynnego uprawiania sportu.

Tadeusz Warsza

ur. 1934 r., z Piasecznem związany od 1946 r.



Fot. Małgorzata Kawka



Historyczne piaseczyńskie nazwiska, najstarsi piaseczyńscy obywatele opowiadają nam o czasach, które minęły i o miejscach, których już nie ma. Rzeczy większe i małe, zdarzenia potoczne, wrażenia ulotne, migawki z dnia powszedniego, zatrzymana w kadrze pamięć...

Opowieści naszych nestorów - opatrzone archiwalnymi, w części nigdzie dotąd nie publikowanymi fotografiami, a spisane pieczołowicie przez Małgorzatę Kawkę, to rzecz bezcenna. I pierwsza z wielu, wielu następnych pozycji, które - mamy nadzieję - będą powstawać w ramach akcji "Łapmy stare Piaseczno".

Magdalena Woźniak
Komisja Promocji Rady Miejskiej w Piasecznie



Gmina Piaseczno

biuro
promocji
informacji
Gminy Piaseczno